



Zane Grey

JEŹDŹCY KRAINY PURPUROWEJ BYLICY



BIBLIOTEKA
SZLAKIEM PRZYGODY
ANDRZEJA

26

ISBN 978-83-66268-06-7

**BIBLIOTEKA ANDRZEJA
SZLAKIEM PRZYGODY**

Zane Grey

**JEŹDŹCY KRAINY
PURPUROWEJ BYLICY**



Pearl Zane Grey urodził się 31 stycznia 1872 roku w Zanesville w stanie Ohio – w mieście, którego współzałożycielami byli jego przodkowie ze strony matki, a zmarł w Altadena, w Kalifornii, 23 października 1939 roku.

Był jednym z najpopularniejszych i najwyżej ocenianych autorów powieści o Dzikim Zachodzie, współtwórcą gatunku literackiego zwanego dziś westernem. Jego dorobek twórczy ocenia się na około 90 książek (głównie powieści), z których ponad dwie trzecie to westerny. Pozostawił po sobie wiele książek dla młodzieży, w tym biografię młodego Jerzego Waszyngtona, publikacje poświęcone swoim wielkim pasjom: bejsbolowi – w który grywał w czasie studiów, a później przez pewien czas półzawodowo – oraz wędkarstwu, a także liczne zbiory opowiadań.

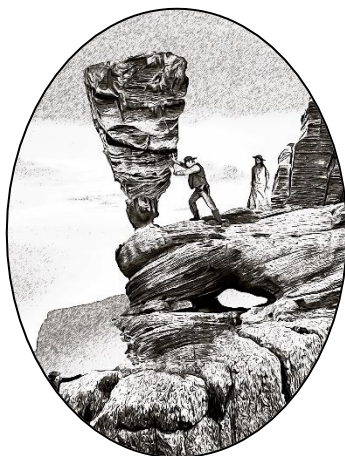
Miłośnik dzieł J.F. Coopera i D. Defoe, a także zeszytowych powieści przygodowych, studiował stomatologię, ale głównie po to, by uzyskać stypendium sportowe. Praktykę dentystyczną porzucił potem na rzecz pisarstwa, podobnie imię Pearl. Debiutował wydaną w 1903 roku powieścią historyczno-przygodową *Betty Zane*, otwierającą trylogię o jego przodkach z początków Stanów Zjednoczonych. Wydał ją własnymi siłami po odrzuceniu przez wydawnictwo Harper & Brothers.

Przełom w jego twórczości nastąpił dopiero w 1912 roku, gdy to samo wydawnictwo opublikowało, nie bez oporów redaktora naczelnego, *Jeźdźców purpurowego stepu*. Powieść okazała się bestsellerem i po dziś dzień należy do najpopularniejszych dzieł Greya. Harper wydał też wcześniejsze jego książki, w tym *Ostatni człowiek z prerii*, a kariera Greya nabrała niepohamowanego rozpędu. Dziś uchodzi za jednego z pierwszych amerykańskich pisarzy milionerów. Doceniono nie tylko umiejętność snucia fascynujących opowieści, ale i dbałość o realia, wiążącą się z jego częstymi podróżami w poszukiwaniu inspiracji.

Jego westerny doczekały się 46 pełnometrażowych ekranizacji i 31 krótszych. Nie był to jedyny związek Zane'a Greya z filmem. W roku 1919 powołał własną wytwórnię filmową. Sprzedana jakiś czas potem, stała się częścią podwalin wielkiego Paramountu.

W Polsce w latach międzywojennych i tuż po wojnie ukazało się w sumie kilkanaście przekładów powieści Zane'a Greya, głównie nakładem wydawnictwa M. Arct. W 1951 roku jego książki zostały objęte zapisem cenzury, nakazującym także niezwłoczne wycofanie ich z bibliotek. Powracać tam i do księgarni zaczęły dopiero w 1989 roku, w postaci publikacji opartych na wydaniach przedwojennych. Dotyczyło to jednak tylko kilku tytułów, i to niekoniecznie tych najciekawszych lub najlepszych.

Zane Grey



JEŹDŹCY KRAINY
PURPUROWEJ BYLICY

Przełożył i przypisami opatrzył Janusz Pultyn

**Sześćdziesiąta szósta publikacja elektroniczna
Wydawnictwa JAMAKASZ**

Dwudziesty szósty tom serii:
„Biblioteka Andrzeja – Szlakiem Przygody”

Tytuł oryginału angielskiego:
Riders of the Purple Sage

© Copyright for the Polish translation by Janusz Pultyn, 2019

19 kolorowych ilustracji: Dariusz Kocurek
© Copyright for the cover and inside illustrations by Dariusz Kocurek, 2019

Redaktor serii: Andrzej Zydorczak


Redakcja i korekta: Andrzej Zydorczak
Projekt okładki: Barbara Linda
Konwersja do formatów cyfrowych: Andrzej Zydorczak

Wydanie I
© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2019

ISSN 2449-9137
ISBN 978-83-66268-07-4

Rozdział I

Lassiter

 uchy stukot podkutych żelazem kopyt cichł i ginał, a kłęby żółtego kurzu ulatywały spod drzew bawelnianych¹ i ponad bylicami².

Jane Withersteen zamyślonymi i zatroskanymi oczyma wpatrywała się w dół szerokiego, purpurowego zbocza. Jeździec³ dopiero co ją opuścił, a to właśnie przekazana przez niego wiadomość sprawiała, że zamyślona i niemal smutna oczekiwała na kapłanów mających przybyć, aby z oburzeniem podważyć jej prawa do przyjaźnienia się z gojem⁴.

Zastanawiała się, czy ją także dotkną niepokoje i spory, jakie ostatnio nawiedzały miasteczko Cottonwoods⁵. Po chwili westchnęła przy-

¹ *Drzewa bawelniane* (ang. *cottonwoods*) – w Ameryce Północnej nazwa kilku podobnych do siebie gatunków drzew z rodzaju topól (*Populus*), w stanie Utah występują topole wąskolistne (*Populus angustifolia*), o cienkich pniach, często tworzące zwarte kępy i *Populus fremontii*, rozłożyste, lubiące miejsca wilgotne, główne drzewa rosnące na wyżynach zachodniej części Stanów Zjednoczonych i Kanady.

² *Bylice* (*Artemisia*) – rodzaj roślin z rodziny astrowatych, obejmuje krzewy i byliny, po angielsku *sagebrush*, główny gatunek w Utah to bylica trójzębna, *Artemisia tridentata*, ang. *big sagebrush*, krzewy dochodzące do 3 m wysokości, wydzielające olejki aromatyczne, o bladezielonych liściach, kwitnące na żółto, główne rośliny na suchych (niepustynnych) terenach zachodniej części Stanów Zjednoczonych, od nich nazwa tych krain (obecnie ang. *sagebrush steppe*, step bylicowy), występująca w oryginalnym tytule powieści (*Riders of the Purple Sage*), dosłownie *Jeźdźcy (krainy) purpurowej bylicy*, według amerykańskich znawców twórczości Zane Gray'a chodzi właśnie o *big sagebrush*, ich ulatujące olejki aromatyczne z oddali mają purpurową barwę.

³ *Jeździec* – w oryginalne *riders*, w XIX-wiecznym Utah określenie konnych pasterzy (kowbojów), pracujących na wielkich ranczach przy wypasie bydła.

⁴ *Goj* – niewierny, u Żydów określenie wyznawców wszystkich innych religii, przejęte przez mormonów w tym samym znaczeniu.

⁵ *Cottonwoods* – nie ma takiej osady w południowym Utah, jedynie w północnym, na obszarze akcji powieści terenie znajduje się Cottonwood Canyon Wilderness i Cottonwood Forest Wilderness, w hrabstwie Washington, w górach Pine Valley, na północ od górnego biegu rzeki Virgin, tereny prawie niezamieszkanek; według niektó-

pomniawszy sobie, że to jej ojciec założył ową najdalszą i najbliższą granicę osadę w południowym Utah¹, a potem zostawił ją jej. Była właścicielką całej tej ziemi i wielu gospodarstw. Jej był Withersteen House² i wielkie ranczo³, wraz z tysiącami głów bydła i najszybszymi końmi krainy bylic. Do niej należało Amber Spring⁴, a to wodzie z tego źródła miasteczko zawdzięczało swą zieleni i piękno, umożliwiało ono życie na tych dzikich, położonych na wyżynie purpurowych pustkowiach. Nie mogła uciec od Cottonwoods, obojętnie, jaki by los nie czekał miasteczko.

Ów rok, 1871, zaznaczył zmianę zachodzącą stopniowo w życiu miłujących pokój mormonów⁵ z pogranicza. Glaze, Stone Bridge, Sterling⁶, osady leżące dalej na północ, wystąpiły zbrojnie przeciwko napływowi osadników-gojów i napadom rozbójników. Pierwsi spotykali się z niechęcią, a z drugimi walczone. Teraz także Cottonwoods zaczęło się burzyć, kipieć i pieklic.

Jane modliła się, aby nie doszło do zakłócenia na zawsze jej spokojnego i przyjemnego życia. Zamierzała dla swoich ludzi robić dużo więcej, aniżeli czyniła dotychczas. Pragnęła wiecznego trwania ich

rych badaczy opisane miejsca leżą w północnej części stanu Arizona, tuż na południe od Utah, w okolicach miasta Fredonia, zasiedlonych wówczas przez mormonów, które Zane Grey odwiedzał podczas wypraw łowieckich w roku 1907 i 1908.

¹ *Utah* – stan w środkowo-zachodniej części USA, do roku 1848 należał do Meksyku, bez stałego osadnictwa, w 1847 przybyli tam poszukujący swego państwa mormoni, w roku 1850 powstało Terytorium Utah zarządzane przez mormonów, do roku 1858, w 1861 jego zachodnią część wyodrębniono jako Terytorium Nevada, w roku 1896 ustanowiono stan Utah ze stolicą w Salt Lake City.

² *Withersteen House* (ang. Dwór, dosł. dom Withersteenów).

³ *Ranczo* (ang. *rancho* z języka hiszpańskiego) – w Ameryce gospodarstwo rolne, zwłaszcza wielkie i zajmujące się głównie hodowlą bydła czy koni.

⁴ *Amber Spring* (ang.) – Bursztynowe Źródło.

⁵ *Mormoni* – wspólnota religijna założona w roku 1830 w USA przez Josepha Smitha; mają doktrynę złożoną z wątków chrześcijańskich, judaistycznych i objawień zawartych w rzekomo starożytnej *Księdze Mormona*; obecnie są zrzeszeni w Kościele Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich; najliczniejsi w USA (Utah), z główną świątynią w Salt Lake City, jest ich około 16 milionów.

⁶ *Glaze, Stone Bridge, Sterling* – z tych miejscowości istnieje tylko Sterling, w środkowej części stanu Utah, ale daleko (około 250 km) na północ od opisywanych terenów, ma obecnie 235 mieszkańców.

sennych, niezakłócanych i pasterskich dni. Martwiły ją zwady pomiędzy należącymi do tej społeczności mormonami i gojami. Z urodzenia była mormonką, ale przyjaźniła się z biednymi i nieszczęsnymi gojami. Chciała jedynie nadal czynić dobro i być szczęśliwą. Zastanawiała się też, co znaczy dla niej owe wielkie ranczo. Kochała je całe – zagajnik drzew bawełnianych, stary dom z kamienia, mieniącą się bursztynową barwą wodę oraz tabuny kudłatych, pokrytych pyłem koni i mustangów¹, smukłych, gładkonogich rumaków pełnej krwi² i stad pasącego się bydła, jak też szczupłych, ogorzałych jeźdźców krainy bylic.

Czekając tak tam, zapomniała o grożącej niekorzystnej zmianie. Ryk leniwego *burro*³ zakłócił popołudniowy spokój, kojąco skupił uwagę na obrazie sennego podwórca, otwartych corrali⁴ i pól porośniętych zieloną trawą alfalfa⁵. Bystry wzrok Jane widział wyraźnie rozciągające się przed nią purpurowe zbocze z bylicami. Niskie pagórki przypominającego prerię gruntu wznosiły się na zachodzie. Ciemne, samotne cedry⁶, nieliczne i bardzo porozrzucane, wyróżniały się wyraźnie, a w znacznej odległości widniały zwaliska czerwonych skał. Jeszcze za nimi, w górze stopniowo wznoszącego się stoku, stał zburzony mur, ogromny zabytek, mający ciemną purpurą i ciągnący się samotną, tajemniczą drogą, krętą linią zanikającą na pół-

¹ *Mustangi* – w Ameryce Północnej zdziczałe konie, pochodzące od przywiezionych przez Hiszpanów.

² *Rumaki pełnej krwi* – określenie stosowane do koni rasy angielskiej, bardzo cenionych jako wyścigowe.

³ *Burro* (hiszp. osioł) – stosowane w Stanach Zjednoczonych określenie ras osłów pochodzenia meksykańskiego, niewysokich i jucznych, także zdziczałych osłów.

⁴ *Corrale* (hiszp. zagrody) – w Stanach Zjednoczonych określenie ogrodzonych wybiegów dla koni i bydła.

⁵ *Alfalfa* – amerykańska nazwa lucerny siewnej (*Medicago sativa*), rośliny z rodziny bobowatych, pochodzącej z Europy, Afryki Północnej i Azji Zachodniej, sadzonej w Ameryce, bylina wysokości 30-90 cm, o fioletowych do purpurowych kwiatach, uprawiana jako wydajna i mało wymagająca roślina pastewna.

⁶ *Cedry* – prawdziwe cedry nie rosną w Ameryce Północnej, nazywane tak są inne gatunki drzew iglastych, zwłaszcza jałowce (*Juniper*), w Utah rosną gatunki *Juniperus utahensis* i *Juniperus osteosperma*, małe, do 6 m wysokości oraz *Juniperus scopulorum*, duże, do 20 m wysokości, dożywające do 2000 lat.

nocy. W kierunku zachodnim było światło, barwa i piękno. W północnym zbocze opadało ku niewyraźnej linii kanionów, spośród których wzbijało się wyniesienie terenu, nie będące górami, lecz rozległym, ciężkim masywem purpurowego płaskowyzu, mającego żebro-
wane i wachlarzowate ściany, zwieńczone jakby zamkami urwiska i szare skarpy. Nad to wszystko zakradały się wydłużające się, blednące w popołudniu cienie.

Szybki tętent kopyt przywołał Jane Withersteen do spraw bieżących. Grupa jeźdźców przygalopowała w górę dróżki, zsiadła z koni i puściła ich cugle. Przyjechało ich siedmiu, zaś dowodzący nimi Tull, wysoki i ciemnowłosy mężczyzna, był elderem¹ w kościele Jane.

– Czy otrzymałaś wiadomość ode mnie? – zapytał od razu.

– Tak – odparła Jane.

– Powiadomiłem też, że kowbojowi Ventersowi daję pół godziny na przyjazd do miasteczka. Nie przyjechał.

– Nic o tym nie wiedział – powiedziała Jane. – Nie mówiłam mu. Czekałam tu na was.

– Gdzie jest Venters?

– Zostawiłam go na podwórku.

– Hej, Jerry – zawołał Tull do jednego ze swoich ludzi – weź oddział i przyprowadźcie tu Ventersa, choćbyście mieli go związać.

Zakurzone, mające długie ostrogi buty jeźdźców zatupały głośno w gaju drzew bawełnianych i zniknęły w ich cieniu.

– Elderze Tull, co to ma wszystko znaczyć? – zapytała Jane. – Jeśli już musicie aresztować Ventersa, to postąpilibyście uprzejmie czekając, aż opuści mój dom. A jeżeli aresztujecie go tu, to do skrzywdzenia mnie dodacie zniewagę. Jest bzdurą oskarżanie Ventersa o udział w strzelaninie i bójce, do jakiej doszło wczoraj wieczorem w miasteczku. Był wtedy ze mną. Ponadto pozwolił mi wziąć swoją broń. Dla was to jedynie wymówka. Co zamierzacie zrobić Ventersowi?

– Już ci mówię – odparł Tull – ale najpierw powiedz mi, dlaczego bronisz tego nic niewartego kowboja?

¹ *Elder* – w kościele mormonów najniższy z pięciu stopni kapłanów z grupy Melchizedek (wyższych).

– Nic niewartego! – zawołała oburzona Jane. – Wcale nie. To najlepszy kowboj, jakiego kiedykolwiek miałam. Nie mam żadnego powodu, aby go nie bronić i wszelkie, żeby to czynić. Bardzo mi wstyd, elderze Tull, że moja życzliwość ku niemu wzbudziła wrogość moich ludzi i że został on uznany wyrzutkiem. Ponadto winna mu jestem dozgonną wdzięczność za uratowanie życia małej Fay.

– Słyszałem, że pokochałaś Fay Larkin i zamierzasz ją adoptować. Ale to dziecko, Jane Withersteen, jest gojką!

– Jest. Nie kocham jednak dzieci mormońskich ani trochę mniej, elderze, bo pokochałam to dziecko gojów. Adoptuję Fay, jeśli jej matka mi ją odda.

– Nie mam wiele przeciwko temu. Możesz dać temu dziecku mormońskie wychowanie – powiedział Tull. – Mam jednak dość patrzeńia, jak ów Venters kręci się przy tobie. Tak wiele miłości okazujesz tym żebrakom gojom, że zastanawiam się, czy aby nie kochasz Ventersa.

Przemawiał z butą mormona, którego władzy nie można podważać i z namiętnością mężczyzny pożeranego przez ogień rozgorzałej zazdrości.

– Może i go kocham – powiedziała Jane. Czują wzbierające w jej sercu lęk i gniew. – Nigdy o tym nie myślałam. Biedaczysko! Na pewno potrzebuje, aby ktoś go kochał.

– Źle to zapowiada dla Ventersa, jeśli nie zaprzeczysz – srogo odrzekł Tell.

Pod drzewami bawełnianymi pojawili się ludzie Tulla, prowadzący dróżką młodego mężczyznę, którego porwane ubranie wskazywało na wyrzutka. Mimo to trzymał się hardo i prosto, z wygiętymi do tyłu szerokimi ramionami, napiętymi mięśniami związanych rąk, zaś przed Tullem pochylał się z błękitnym płomieniem pogardy w spojrzeniu.

Jane Withersteen po raz pierwszy wyczuła prawdziwy duch Ventersa. Zastanawiała się, czy pokocha tego wspaniałego młodzieńca. Potem jej uczucia ochłodziły wraz z trzęwiącym odczuciem wysokości stawki gry.

– Venters, czy opuścisz Cottonwoods teraz i na zawsze? – zapytał z naciskiem Tull.

– Dlaczego? – odparł pytaniem kowboj.

– Bo tak każe.

Venters roześmiał się z zimną wzgardą.

Rumieniec wyskoczył na ciemny policzek Tulla.

– Jeśli nie wyjedziesz, będzie po tobie – zapowiedział ostro.

– Po mnie! – zawołał z pasją Venters. – Czy już przez was nie jest po mnie? Co przez to rozumiecie? Rok temu byłem jeźdźcem. Miałem swoje konie i bydło. Dobre imię w Cottonwoods. A teraz, kiedy przybyłem do miasteczka, aby zobaczyć się z tą kobietą, nasłaliście na mnie swoich ludzi. Zwiążaliście mnie. Prześladujecie mnie jak rozbójnika. Nie mam nic więcej do stracenia, co najwyżej życie.

– Czy opuścisz Utah?

– Och! Wiem – szyderczo ciągnął Venters – złości was myśl, że piękna Jane Withersteen traktuje przyjaźnie biednego goja. Chcecie ją całą dla siebie. Jesteście mormonem polującym na posag. Zależy wam na niej, a także na Withersteen House, źródle Amber i siedmiu tysiącach sztuk bydła!

Tull wysunął twardą szczękę, a burząca się krew napięła żyły na jego karku.

– Jeszcze raz pytam. Czy odjedziesz?

– NIE!

– Wobec tego każe wychłostać cię tak, że ledwo zostaniesz przy życiu – odrzekł chrapliwie Tull. – Każe wyrzucić cię pośród bylice. A jeśli kiedyś wrócisz, spotka cię jeszcze gorszy los.

Ożywioną twarz Ventersa zmroził chłód, a brązowa cera poszarzała.

Jane porywczo wystąpiła naprzód.

– Ach! Elderze Tull! – zawołała. – Nie zrobicie tego!

Tull pogroził jej podniesionym palcem.

– Zrobię to przez ciebie. Zrozum, nie będzie ci wolno obdarzać tego chłopca przyjaźnią, która uraża twojego biskupa¹. Jane Wither-

¹ *Biskup* – w kościele mormonów najwyższy stopień u kapłanów Aarona (grupa niższych), przewodniczy miejscowym oddziałom (ang. *ward*) tego kościoła (odpowiednikom parafii).

steen, ojciec zostawił ci bogactwo i władzę. Zawróciło ci to w głowie. Nie pojęłaś jeszcze, jakie jest miejsce mormońskich kobiet. Przemawialiśmy ci do rozumu, znosiliśmy cię cierpliwie. Czekaliśmy. Pozwoliliśmy ci na miłośćkę, czyli na więcej, niż widziałem, że pozwolono kiedykolwiek mormonce. Mimo to nie odzyskałaś zdrowych zmysłów. Teraz raz na zawsze nie możesz dalej przyjaźnić się z Ventersem. Zostanie wychłostany i będzie musiał opuścić Utah!

– Ach! Nie chłostajcie go! Byłoby to nikczemne! – błagała Jane, powoli uświadamiając sobie, że opuszcza ją odwaga.

Tull zawsze osłabiał w niej ducha, postrzegła też coraz lepiej, że udawała śmiałość, której nie miała. Elder objawiał się teraz Jane w innej postaci, nie był zazdrosnym zalotnikiem, ale wcieleniem tajemniczego despotyzmu, jaki znała od dziecka – władzy dawanej mu przez jej wiarę.

– Venters, wolisz chłostę odebrać tutaj czy też mamy cię zabrać pomiędzy bylice? – zapytał Tull.

Uśmiechał się z mrozem bardziej niż nieludzkim, ale jakby z tego mrocznego opanowania wydobywał się błysk prawości.

– Odbiorę ją tutaj, skoro muszę – powiedział Venters – ale na Boga, Tull, lepiej z miejsca mnie zabij. Chłosta ta będzie drogo kosztowała cię i twoich pobożnych mormonów. Uczynisz ze mnie drugiego Lassitera!

Osobliwy blask, surowe światło padające z twarzy Tulla mogły wyrażać świętą radość, jaką dawało duchowe poczucie spełnienia najwyższego obowiązku. Było w elderze jednak coś jeszcze, ledwo skrywanego, coś osobistego i złowieszczonego, stanowiącego w nim głębinę, pochłaniającą otchłań. Jak jego religijność była fanatyczna i nieugięta, tak bezlitosna była jego fizyczna nienawiść.

– Elderze, za... żałuję mych słów – ledwo wydusiła z siebie Jane. Głosem wyrażała swą religię, dawno nabyty nawyk posłuszeństwa, pokory, jak również przysparzający cierpienie strach. – Ocalcie tego chłopca! – szepnęła.

– Teraz nie możesz go już uratować – odparł ostro Tull.

Pochyliła głowę korząc się wobec nieuniknionego. Pojmowała prawdę, kiedy ta nagle się jej objawiła, jako wewnętrzny ucisk, tward-

nienie w jej piersiach łagodnych mocy. Wszystko, co było w niej miękkie i słabe, sztywniało niby stalowy pręt. Czowała, jak rodzi się w niej coś nowego i niezrozumiałego. Jej napięty wzrok raz jeszcze przeszukiwał bylicowe stoki. Jane Withersteen kochała te dzikie i purpurowe pustkowia. W czasach smutku dawały jej moc, w chwilach szczęścia sprawiały nieustanną rozkosz. W skrajnej potrzebie rozpoznała, że mruczy do siebie: „Skądże nadejdzie mi pomoc!¹”. Była to modlitwa, jakby z tych samotnych, purpurowych dali, czerwonych ścian i niebieskich rozpadlin mógł wyjechać nieulekły jeździec, którego wiara ani nie wiązała, ani nie wprawiała w szaleństwo i który w obliczu tych bezlitosnych ludzi wyciągnie swą powstrzymującą rękę.

Gorączkowe ruchy ludzi Tulla nagle ustały. Nastąpiły po nich ciche szepty, szmery, ostry okrzyk.

– Patrzcie! – powiedział jeden z nich, wskazując na zachód.

– Jeździec!

Jane Withersteen obróciła się i ujrzała kogoś na koniu, sylwetkę na tle zachodniego nieba, wyłaniającą się z krainy bylic. Zjechał z lewej strony, w złocistej poświacie słońca, niezauważalny, dopóki się nie zbliżył. Odpowiedź na jej modlitwę!

– Czy go znacie? Czy któryś z was go zna? – zapytał pośpiesznie Tull.

Jego ludzie wpatrywali się i po kolei kręcili głowami.

– Przybywa z daleka – powiedział jeden z nich.

– Co za ładny kuń – stwierdził inny.

– Dziwny jeździec.

– Ho! Nosi czarne skóry – dodał czwarty.

Nakazawszy milczenie machnięciem ręki, Tull wysunął się naprzód w taki sposób, że zasłaniał Ventersa.

Jeździec ściągnął wodze swojego wierzchowca i pochyliwszy się zgrabnie naprzód, jednym długim susem stanął na ziemi. Choć ruch ten był osobliwie szybki, wykonujący go jeździec ani na jotę nie przestał być ustawiony na wprost znajdującej się przed nim grupy.

¹ *Skądże nadejdzie mi pomoc!* – cytat z Biblii, Księga Psalmów, Psalm 121, werset 2 (Biblia Tysiąclecia).



– Venters, wolisz chłostę odebrać tutaj
czy też mamy cię zabrać pomiędzy bylice? – zapytał Tull.

– Patrzcie! – szepnął ochryple jeden z towarzyszy Tulla. – Nosi dwa rewolwery o czarnych kolbach, wiszą nisko, trudno je dostrzec, podobnie czarne jak czarne ochraniacze¹.

– Rewolwerowiec! – również szeptem dodał inny. – Uważajcie teraz, chłopy, jak machacie rękami.

Powoli zbliżający się obcy zdawał się jedynie leniwie kroczyć albo drobić niezdarnie jak jeździec nieprzywykły do chodzenia, lecz równie dobrze mogło to być ostrożne posuwanie się człowieka, który w obecności innych zachowuje przezorność.

– Witaj, obcy! – zawołał Tull. W tym pozdrowieniu nie było niczego życzliwego, a jedynie opryskliwa ciekawość.

Jeździec odpowiedział lekkim skinieniem głowy. Szerokie rondo czarnego sombrero² rzucało mroczny cień na jego twarz. Przez chwilę przyglądał się bacznie Tullowi i jego towarzyszą, a potem wstrzymał powolne kroczenie, jakby się odprężając.

– Wieczór, szanowna pani – powiedział do Jane i ze szczególnym wdziękiem zdjął sombrero.

Witając go Jane spojrzała na twarz, której instynktownie zaufała i która przyciągała jej uwagę. Posiadała wszelkie oznaki jeźdźca z pogranicza – szczupłość, ogorzałą od słońca cerę i utrwaloną niezmiennosć rysów, powstałą po latach milczenia i samotności. To jednak nie one przykuwały ją do niej, ale raczej intensywność spojrzenia, wielkie znużenie, przenikliwość szarych oczu, zadumanych i czujnych, jakby ów człowiek szukał czegoś zawsze i nigdy tego nie znajdował. Wnikliwa kobieca intuicja Jane przez tą krótką chwilę wyczuła smutek, głód czegoś, tajemnicę.

– Czy pani Jane Withersteen? – zapytał.

– Tak – odparła.

¹ *Ochraniacze* – w oryginale *chaps*, angielski skrót z hiszpańskiego *chaparajos*, długie skórzane ochraniacze nakładane na spodnie, noszone przez kowbojów podczas jazdy przez kolczaste zarośla.

² *Sombrero* (hiszp. kapelusz, dosłownie rzucający cień) – kapelusz pochodzenia meksykańskiego, o bardzo szerokim rondzie, noszony dla osłony przed słońcem twarzy, szyi i karku, noszony powszechnie w XIX wieku w południowej i zachodniej części Stanów Zjednoczonych.

– Czy woda tutaj jest pani?

– Tak.

– Czy mogę napić konia?

– Oczywiście. Tam jest koryto.

– Ale możebnie gdyby wiedziała pani kim jestem... – zawahał się, zerknął na słuchających mężczyzn. – Możebnie nie pozwoliła by mi pani go napić... choć dla siebie nie proszę o nic.

– Nie ma znaczenia, kim jesteście, przybyszu. Napójcie swojego konia. A jeśli sami jesteście spragniony i głodny, zapraszam do mojego domu.

– Dziękuję pani. Nie mogę nic przyjąć dla siebie, tylko dla mego zmęczonego konia...

Jeźdźcowi przerwał stukot kopyt. Niecierpliwie ruchy ludzi Tulla rozerwały ciasny krąg, odsłaniając więźnia Ventersa.

– Możebnie przeszkodził żem w czymś, chocia na parę chwil? – zapytał jeździec.

– Tak – odparła Jane Withersteen drżącym głosem.

Wyczuwała przyciągającą moc jego oczu, a potem zobaczyła, jak patrzy on na związanego Ventersa, na trzymających go ludzi i ich przywódcę.

– W tym tuta kraju wszystkie koniokrady i złodzieje, mordercy i rozrabiaki, i wszystkie niedobre ludzie to akurat goje. Proszę pani, do którego rodzaju onych nic dobrego nicponi należy ten młody człek?

– Do żadnego z nich. To uczciwy chłopiec.

– WIE to szanowna pani?

– Tak, o tak.

– Co zatem zrobił, iż tak go związaneo?

To jasne i dobitne pytanie, zadane w równej mierze Tullowi, co Jane Withersteen, zmroziło niespokojne ruchy i przyniosło z miejsca ciszę.

– Zapytajcie jego samego – odparła Jane, podnosząc głos.

Jeździec odsunął się od niej tym samym powolnym, miarowym krokiem, jakim podszedł, zaś to, że wskutek tego ruchu Jane znalazła się na oddzielnej stronie, a on nie zbliżył się do Tulla i jego ludzi, miało głębokie znaczenie.

– Młody, przemów – powiedział Ventersowi.

– Przybyszu, to nie wasza sprawa – zaczął Tull. – Nie próbujcie się w nią wtrącać. Pozwolono wam pić i jeść. To więcej, co możecie dostać w każdym innym miejscu na pograniczu Utah. Napójcie swego konia i dalej w drogę.

– Dobra, dobra, jeszcze się nie wtrącam – odparł jeździec. Ton jego głosu się zmienił. Mówił teraz inny człowiek. Ten zwracający się do Jane był uprzejmy i łagodny, zaś po raz pierwszy teraz odpowiadający Tullowi miał głos twardy, chłodny, zaczepny. – Ino wygląda mi to na dziwną sprawę. Siedmiu mormonów, wszystkich zbrojnych, goj związany postronkiem i kobieta zaklinająca się o jego uczciwości! Dziwaczne, no nie?

– Dziwne czy nie, nic to was nie obchodzi – odciął się Tull.

– Tam, gdzie żem dorastał, słowo kobiety było prawem. Jeszcze żem z tego całkiem nie wyrósł.

Wzburzony Tull był po równi pełen zdumienia i złości.

– Wy wścibski, mamy tutaj prawo inne, aniżeli kobiece zachcianki: prawo mormońskie...! Pilnujcie się, żeby go nie złamać.

– Do diabła z waszym mormońskim prawem!

Te przemyślane słowa podkreśliły kolejną zmianę postawy jeźdźca, od uprzejmego zaciekawienia do budzącej się groźby. Przeobraziło to również Tulla i jego towarzyszy. Ich przywódca otworzył w zdumieniu usta i cofnął się niezdarnie w obliczu tego bluźnierczego ataku na instytucję, którą uważał za najbardziej świętą. Trzymający konie Jerry wypuścił cugle i zamarł w miejscu. Pozostali stali jak słupy, wpatrywali się bacznie ze sztywno zwisającymi rękoma, wszyscy czekali.

– Mów tera, młodzieńcze. Co żeś zrobił, że tak cię związaneo?

– To cholerne nadużycie! – wybuchnął Venters. – Nie zrobiłem nic złego. Okazując swą przyjaźń tej kobiecie uraziłem obecnego tu mormońskiego eldera.

– Proszę pani, czy jest prawdą, co mówi? – jeździec zapytał Jane, lecz swych drgających czujnych oczu ani na chwilę nie odrywał od grupki stojących spokojnie mężczyzn.

– Czy to prawda? Tak, całkowicie prawda – odpowiedziała.

– Nu, młodzieńcze, wydaje mi się, że przed byciem przyjacielem takiej kobiety ani nie chciał się żeś, ani nie mógł się bronić... Co cię ma za to spotkać?

– Zamierzają mnie wychłostać. Wiecie, co to znaczy w Utah!

– Pewnikiem – powoli odparł jeździec.

Wraz z chłodnym wzrokiem jego szarych oczu utkwionym w mormonach, z nerwowym gryzieniem wędzideł przez konie, z Jane nie będącą w stanie powściągnąć narastającego w niej wzburzenia, ze stojącym spokojnie bladym Ventersem, napięcie ciągle rosło. Tull śmiechem przerwał ten czar, śmiechem bez wesołości, śmiechem wyrażającym wyłącznie strach.

– No dalej, ludzie! – zawołał.

Jane Withersteen zwróciła się ponownie do jeźdźcy:

– Przybyszu, czy możecie coś zrobić, aby uratować Ventersa?

– Prosi mnie pani o uratowanie go – przed takimi jako pani?

– Czy proszę was? Ja błagam!

– Przecie nie ma pani pojęcia, kogo prosi.

– Och, zaklinam pana, niech go pan uratuje!

– To mormoni, a ja...

– Za... za wszelką cenę... uratuj go pan. Bo... bo zależy mi na nim!

Tull warknął:

– Chora miłość do głupka! Zdradzasz swą tajemnicę. Znajdzie się sposób, aby dać ci nauczkę, jakiej nigdy nie miałaś... Ludzie, idziemy stąd!

– Mormonie, młodziak zostaje – powiedział jeździec.

Jego głos niby strzał zatrzymał Tulla.

– Co!

– Pozostanie tutaj.

– Kto go przejmie? Jest moim więźniem! – wołał gorączkowo Tull. – Przybyszu, mówię ci raz jeszcze – nie mieszaj się w to. Dość już wścibiałeś nosa. Odejdź stąd zaraz, bo...

– Posłuchaj...! On zostaje.

Całkowita pewność, bez najmniejszego cienia wątpliwości, przepełniała niski głos jeźdźcy.

– Kim jesteś? Jest tu nas siedmiu.

Jeździec zrzucił sombrero i wykonał szybki ruch, zadziwiający tym, że trochę się pochylił, z wygiętymi sztywno rękoma i wielkimi, czarnymi kaburami przesuniętymi w przód.

– LASSITER!

To zdumiony, podniecony głos Ventersa dokonał proroczego połączenia pomiędzy dziwną postawą jeźdźca, a budzącym przerażenie nazwiskiem.

Tull wyciągnął sięgającą po coś rękę. Blask życia w jego oczach przygasł do mroku, w jakim przestraszeni ludzie widzą nadciągającą śmierć. Śmierć wszakże, choć zawisła nad nim, to nie opadła, gdyż jeździec czekał na ruch świerzbiących palców, na opuszczenie się ręki, jakie nie nastąpiło. Tull wziął się w garść i ruszył ku koniom, pilnowanym przez jego pobladłych towarzyszy.



Rozdział II

Cottonwoods

Venters był zbyt mocno poruszony, aby głosem wyrazić wdzięczność widoczną na jego twarzy. To Jane zwróciła się do wybawiciela i chwyciła go za ręce. Jej uśmiechy i łzy zdawały się oszalać jeźdźca. Kiedy trochę się uspokoiła, podeszła do zmęczonego konia Lassitera.

– Sama go napoję – powiedziała i zaprowadziła konia do koryta stojącego pod wielkim i starym drzewem bawełnianym. Zręcznymi palcami rozluźniła uzdę i wyjęła wędzidło. Koń prychnął i pochylił łeb. Koryto było mocne, kamienne i wydrążone, omszone i zzieleniałe, mokre i chłodne, a zasilająca je przejrzysta brązowa woda wypływała z pluskiem z drewnianej rury.

– Z daleka przyniósł pana dzisiaj?

– Tak, proszę pani, pokonał ponad sześćdziesiąt mil, możebnie siedemdziesiąt.

– Długa jazda... taka, że... Och, on jest ślepy!

– Tak, proszę pani – potwierdził Lassiter.

– Co go oślepiło?

– Pewni ludzie kiedyś go schwytali i związali, a potem przysunęli do jego ślepi rozżarzone do białości żelazo.

– Och! Ludzie? Raczej diabły... Czy byli pańskimi wrogami... mormonami?

– Tak, proszę pani.

– Żeby mścić się na koniu! Lassiterze, ludzie mojej wiary są nie-naturalnie okrutni. Przyznaję to ku memu nieustannemu żalowi. Byli wyganiani¹, nienawidzeni, prześladowani¹, aż ich serca stwardniały.

¹ *Wyganiani* – na tereny przyszłego stanu Utah mormoni przybyli po uprzednim wygnaniu ich ze stanu Missouri (w roku 1833) i stanu Illinois (w roku 1844).

My, kobiety, żywimy taką nadzieję i modlimy się o nadejście czasów, w których nasi mężczyźni złagodnieją.

– Proszę panią o wybaczenie, no taki czas nie nadejdzie nigdy.

– Och, nadejdzie... Lassiter, czy uważa pan mormońskie kobiety za bezpieczne? Czy na nie również podnosi pan rękę?

– Nie. Wierzę, że mormonki to najlepsze i najszlachetniejsze, ale też najdłużej cierpiące i najbardziej zaślepione i nieszczęśliwe kobiety na Ziemi.

– Och! – Spojrzała na niego z powagą i namysłem. – Czyli przełamie się pan ze mną chlebem?

Lassiter nie odpowiedział z miejsca, w zakłopotaniu przestępował z nogi na nogę, a rękoma obracał sombrero. Wreszcie zaczął:

– Proszę pani, pewnikiem w dobroci swego serca nie wszystko pani dostrzega. Może nie jest żem tutaj dobrze znany, no dalej na północ pewni mormoni będą przewracali się w grobach na myśl, że zasiądę z panią do stołu.

– Przyznaję. Ale czy mimo to pan zasiądzie? – zapytała.

– Możebnie ma pani brata czy krewnego, który zajdzie i poczuje się urażony, a nie chciałbym, żeby...

– Nic nie wiem, żebym miała krewnego w Utah. Nikt nie ma prawa podważać mojego postępowania – odparła i z uśmiechem zwróciła się do Ventersa: – Wejdiesz, Bernie, a Lassiter także. Będziemy jedli i weselili się, dopóki można.

– Zastanawiam się ino, czy Tull i jego ludzie nie podburzą miasteczka – powiedział Lassiter, zajmując ostatni i słabnący szaniec obrony.

– Tak, podburzy, kiedy się pomodli – odparła Jane. – Chodźcie.

Poprowadziła ich z przewieszoną przez ramię uzdą konia Lassitera. Wkroczyli do zagajnika i poszli szeroką dróżką ocienioną nisko wyrastającymi gałęziami wielkich drzew bawełnianych. Ostatnie pro-

¹ *Prześladowani* – niemal od początku zamknięci w sobie i ekspansywni mormoni spotykali się w oporem sąsiadów, co doprowadziło do śmierci w napaści założyciela religii, Josepha Smitha w roku 1844 oraz do tzw. wojen mormońskich (w stanie Missouri w roku 1838, Illinois w roku 1844 i 1845, Utah w roku 1857 i 1858).

mienie zachodzącego słońca rzucały przez liście złociste pręgi. Trawa była wysoka i gęsta, miły widok dla oczu znużonych bylicami. Ćwierkająca przepiórka¹ przecięła dróżkę, gdzieś w wierzchołku drzewa drozd² zaczął swą wieczorną pieśń, zaś spokojne powietrze było przesycone świeżością i szmerem płynącej wody.

Domostwo Jane Withersteen, które okalał krąg drzew bawełnianych, było niskim i długim budynkiem z czerwonego kamienia, stojącym na brukowanym podwórku, przez który przepływał piękny strumień wody bursztynowej barwy. Potężne złomy kamienia, ciężkie belki, mocne drzwi i okiennice wskazywały, że jego twórca chciał, aby opierał się rabunkom i czasowi, natomiast kwiaty i mchy rosnące przy kamiennym łożysku potoku oraz jasne kolory dywaników i chodników na posadzce podwórca, jak też przytulny kącik z hamakiem, książkami i zasłanym czystym obrusem stołem zdradzały upiększanie tego domu przez córkę dążącą do szczęścia i życia bieżącym dniem.

Jane puściła luzem na gęstej trawie konia Lassitera.

– Będzie go pan potrzebował na podorędziu – powiedziała – bo inaczej kazałabym zabrać go na błonia alfalfy.

Przywołała kobiety, które od razu zaczęły się krzątać, biegać tu i tam, zastawiać stół. Następnie Jane przeprosiła i weszła do domu.

Minęła wielką izbę o niskiej jak w forcie powale, mniejszą, w której na otwartym palenisku z drzwami płonął jasno ogień, i dotarła do swojego pokoju. Było w nim równie wygodnie, co na przypominającym domostwo podwórku zewnętrznym, a dzięki łagodnym odcieniom barw ciepło i bogato.

Rzadko kiedy po wejściu do swojego pokoju Jane Withersteen nie przeglądała się w lustrze. Była świadoma, że lubiła widzieć tam odbicie swej urody, o której nigdy nie pozwalano jej zapominać, odkąd

¹ *Przepiórka* – w Utah występują trzy gatunki przepiórek, a właściwie przepiórów, nazywanych tak w odróżnieniu od przepiórek Starego Świata, które przypominają: przepiór huskowaty (ang. *scaled quail*), łac. *Callipepla squamata*, przepiór kalifornijski (*Callipepla californica*) i przepiór Gambella (*Callipepla gambelii*).

² *Drozd wędrowny* (*Turdus migratorius*) – ptak z rodziny drozdowatych, pospolity w całej Ameryce Północnej, o ciemnoszarym grzbiecie i głowie, rdzawym brzuchu (stąd amerykańska nazwa *robin*, czyli europejski rudzik), pięknie śpiewa.

była małym dzieckiem. Krewni i znajomi, a później czereda mormońskich i gojskich zalotników, podsycali w niej płomień wrodzonej próżności. W wieku dwudziestu ośmiu lat niemal wcale nie myślała o swym cudownym i dobrym wpływie na maleńką społeczność, pozostawioną jej przez ojca, dla której była dobroczynną dziedziczką. Dbała głównie o marzenia, o pewność siebie i wdzięk, jakie dawała jej uroda. Tym wszakże razem spojrzała w zwierciadło z powodu większego niż zazwyczaj szczęścia, bez zwykłego u niej ledwo świadomego uśmiechu. Pragnęła bowiem czegoś więcej, aniżeli uznania się za ładną w oczach własnych i przyjaciela; zastanawiała się, czy ładną okaże się w oczach owego Lassitera, owego człowieka, którego nazwisko dotarło przez rozległe, dzikie złomy głązów oraz bylicowe równiny, owego mężczyzny o łagodnej mowie i smutnych oczach, który nienawidził i zabijał mormonów. Teraz to nie swą na wpół świadomą próżnością powodowana przebrała się z sukni do jazdy konnej w białą, a potem długo wpatrywała się w postawne kształty o pełnej wdzięku sylwetce, w jasną twarz o mocnym podbródku i pełnych, jędrnych ustach, w ciemnoniebieskie, dumne i wypełnione uczuciem oczy.

„Jeżeli jakimś cudem zdołam zatrzymać go tutaj na kilka dni, na tydzień... to nigdy więcej nie zabije żadnego mormona – dumiała. – Lassiter...! Drżę na samą myśl o tym nazwisku, o nim. Kiedy jednak patrzę na tego człowieka, zapominam kim jest... niemal go lubię. Pamiętam tylko o tym, że uratował Berna. Cierpi. Ciekawe z jakiego powodu... czy pokochał kiedyś mormonkę? Jakże wspaniale bronił nasze biedne, źle rozumiane dusze! Musiał je jakoś poznać... dobrze poznać”.

Jane Withersteen wróciła do gości i zaprosiła ich do stołu. Odesławszy kobiety obsługiwała ich własnoręcznie. Kolacja była obfita, a towarzystwo dziwaczne. Po jej prawej ręce siedział obdarty i mocno wygłodzony Venters; i chociaż nawet ślepe oczy mogłyby dostrzec, jak duży był jego udział w sumie szczęścia gospodyni, to wyglądał na posępnego wyrzutka, jakim się stał wskutek swego przywiązania, zaległ nad nim cień tego, że już po nim, co zapowiedział Tull. Po

lewej ręce siedział odziany w czarną skórę Lassiter, patrzący jak ktoś rozmarzony. Nie było w nim głodu, opanowania, mowy, a kiedy kręcił się w częstych chwilach niepokoju, ciężkie rewolwery, których nie odłożył, objęły się o nogi stołu. Jeśli w ogóle można byłoby zapomnieć o obecności Lassitera, to owe wymowne drobne szarpnięcia wykluczały takie przypuszczenie. To Jane Withersteen mówiła, uśmiechała się i śmiała z wszelką oszałamiającą grą warg i oczu, jaką piękna, odważna kobieta umie posługiwać się w swoich celach.

Po skończonym posiłku, kiedy mężczyźni odsunęli krzesła, pochyliła się bardziej ku Lassiterowi i spojrzała mu prosto w oczy.

– Czemu przybył pan do Cottonwoods?

Jej pytanie zdało się rozproszyć czar. Jeździec wstał, jakby właśnie oprzytomniał i przypomniał sobie, że zwleka dłużej, niż chciał.

– Proszę pani, w całym południowym Utah i w Nevadzie poszukuję... czegoś. I to dzięki pani nazwisku dowiedziałem się, gdzie to znaleźć... właśnie tutaj, w Cottonwoods.

– Mojemu nazwisku! A tak, pamiętam. Znał je pan, kiedy odezwał się po raz pierwszy. Proszę mi powiedzieć, gdzie je pan usłyszał i od kogo?

– W pewnym miasteczku – chyba nazywa się Glaze – jakie pięćdziesiąt, albo i więcej mil stąd na zachód. A usłyszałem je od goja, kowboja, który powiedział, iż pani wie, gdzie mogę znaleźć...

– Co znaleźć? – zapytała władczo, kiedy Lassiter zamilkł.

– Grób Milly Erne – odpowiedział cicho, a każde słowo jakby wyszarpywał.

Venters okręcił się w krześle, aby ze zdumieniem spojrzeć na Lassitera, zaś Jane w bieli powoli wstała także, ogarnięta spokojną ciekawością.

– Grób Milly Erne? – powtórzyła szeptem. – Co pan wie o Milly Erne, mojej ukochanej przyjaciółce, która umarła w moich ramionach? Kim był pan dla niej?

– Czy mówię, że byłem kimkolwiek? – zapytał. – Znam ludzi... krewnych... od dawna pragnących dowiedzieć się, gdzie została ona pochowana, nic więcej.

– Krewnych? Nigdy o nich nie mówiła, jedynie o bracie, zastrzelonym w Teksasie. Panie Lassiter, grób Milly Erne jest na tajemnym cmentarzu w mojej posiadłości.

– Czy zaprowadzi mnie pani tam...? Urazi tym pani mormonów mocniej, aniżeli dzieląc się ze mną chlebem.

– Rzeczywiście, ale to zrobię. Nikt jednak nie może nas zobaczyć. Może jutro.

– Dziękuję, Jane Withersteen – odparł jeździec, ukłonił się jej i wycofał się tyłem z podwórca.

– Nie zostanie pan, nie spędzi nocy pod moim dachem? – zapytała.

– Nie, proszę pani, jeszcze raz podziękuję. Nigdy nie śpię pode dachem. A gdybym nawet żem sypiał, to w miasteczku w dole zbiera się burza. Nie. Pójdę w bylice. Mam nadzieję, że swej uprzejmości dla mnie nie przyplaci pani przykrościami.

– Lassiter – powiedział Venters ze zgorzkniałym śmiechem – i moje łoże jest w bylicach. Może się tam spotkamy.

– Możliwie. No, kraina bylic jest wielka, a nie będę w pobliżu. Dobranoc.

Na cichy gwizd Lassitera kary koń zarżał i ostrożnie, na ślepo, wydostał się z zagajnika. Jeździec nie założył mu uzdy, lecz szedł obok, prowadząc wierzchowca dotknięciami dłoni. Razem powoli zagłębiali się w cień rzucany przez drzewa bawełniane.

– Jane, muszę zaraz odejść – powiedział Venters. – Oddaj mi broń. Gdybym ją miał...

– Albo mój przyjaciel, albo elder mojego kościoła padłby już trupem – przerwała mu.

– Tull na pewno.

– Och, gorącokrwisty, zawzięty młodziku! Czyż nie mogę nauczyć cię pobłażania, miłosierdzia? Bern, wybaczenie wrogom jest postępowaniem bogobojnym. „Niech nad waszym gniewem nie zachodzi słońce”¹.

– Cii! Nie mów mi więcej o miłosierdziu czy religii... na pewno nie po dzisiejszym dniu. Dziwne przybycie dzisiaj Lassitera sprawiło,

¹ *Niech nad waszym gniewem nie zachodzi słońce* – cytat z *Listu do Efezjan*, 4:26 (Biblia Tysiąclecia).

że nadal jestem mężczyzną i teraz umrę jak mężczyzna...! Oddaj mi broń.

Milcząco weszła do domu, wróciła z ciężkim od naboju pasem, kaburą z rewolwerem i długą strzelbą; wręczyła oręż Ventersowi, a kiedy ten zapinał pas, stała przed nim w postawie bez słów.

– Jane – powiedział kowboj łagodnie – nie patrz tak na mnie. Nie zamierzam zamordować twojego kapłana. Spróbuję omijać go z daleka, jak i jego ludzi. Czy jednak nie widzisz, że jesteś już u kresu? Jane, cudowna z ciebie kobieta. Nigdy nie było równie co ty wyzbytej samolubstwa i dobrej. Chociaż pod jednym względem jesteś ślepa... Posłuchaj!

Spoza zagajnika dobiegł tętent pędzących szybkim klusem koni.

– Część twoich kowbojów – mówił dalej. – Blisko już pory nocnej zmiany. Wyjdźmy do ławki w gaju i porozmawiajmy tam.

Pod gołym niebem było nadal jasno, ale cienie rozłożystych gałęzi drzew bawelnianych zaciemniały dróżki. Venters z jednej z nich odciągnął Jane w biegnącą między krzewami ścieżkę, o szerokości ledwo pozwalającej dwóm osobom iść obok siebie, i okrężną drogą wyprowadził daleko od domu na pagórek na skraju gaju. W osłoniętym zakątku stała tam ławka, z której przez lukę w wierchołkach drzew widać było bylicowy stok, kamienną ścianę i niewyraźne zarysy kanionów. Jane nie odezwała się wcale, odkąd Venters wstrząsnął nią pierwszymi ostrymi słowami, ale przez całą drogę trzymała go pod ramię, a teraz, kiedy stanął i na ławce położył strzelbę, nadal je ścisnęła.

– Jane, niestety muszę cię opuścić.

– Bernie! – zawołała.

– Tak, na to wygląda. Moje położenie nie jest najlepsze... nie potrafię czuć się jak należy... utraciłem wszystko...

– Dam ci, co tylko...

– Wysłuchaj mnie, proszę. Mówiąc o utracie nie mam na myśli tego, co ty. Chodzi mi o utratę życzliwości, dobrego imienia – bez czego nie mogę dłużej bez rozgoryczenia pozostawać w tym miasteczku. Cóż, już za późno... Myślę teraz, że na przyszłość najlepiej uczynisz rezygnując ze mnie. Tull jest nieprzejednany. Po jego dzisiej-



– Jane, niestety muszę cię opuścić.

szych zamiarach powinnaś dostrzec, że... Nie możesz jednak. Twoje zaślepienie... twoja przeklęta religia...! Jane, wybac mi – mam w sobie ranę i coś mnie dręczy. Tak, obawiam się, że niewidzialna ręka będzie skrycie działać ku twojej zgubie.

– Niewidzialna ręka? Bernie!

– Mówię o twoim biskupie. – Venters powiedział to dobitnie i nie wypuścił jej, kiedy zaczęła się cofać. – Jest tu prawem. Wydano zarządzenie o mojej zgubie. Popatrz no na mnie! Zostanie teraz wydane inne, mające przymusić cię do posłuszeństwa woli Kościoła.

– Błędnie oceniasz biskupa Dyera. Tull jest twardy, wiem. Od lat jednak się we mnie kocha.

– Och, ta twoja wiara i twoje tłumaczenia innych! Nie możesz widzieć tego, co wiem – a jeśli nawet widzisz, to w trosce o swoje życie nie dopuszczasz tej wiedzy do siebie. Broni tego tkwiąca w tobie mormonka. Elderzy i biskupi posuną się do dosłownie każdego czynu, który zwiększy potęgę i bogactwo ich kościoła, ich władzy. Pomyśl, co robią z tutejszymi gojami, ze mną – pomyśl o losie Milly Erne!

– Co wiesz o jej życiu?

– Wiem dostatecznie dużo – może nawet wszystko, oprócz nazwiska mormona, który ją tu sprowadził. Muszę jednak przestać o tym mówić.

W odpowiedzi ścisnęła mu rękę. Pomógł jej usiąść przy nim na ławce. Szanował też jej milczenie, pełne, jak się domyślał, niepojętych dłań głębokich uczuć kobiety.

W tej właśnie chwili ostatnie rudawe promienie zachodzącego słońca załśniły na krótko, zanim ustąpiły miejsca zmierzchowi. Ciągący się przed Ventersem widok był pod pewnymi względami zbieżny z jego odczuciami dotyczącymi przyszłości. Czujnym wzrokiem przetrząsał owe piękne, purpurowe i jałowe pustkowia pełne bylic. Czaiło się tam nieznanne i groźne. Cała scena uderzała młodego człowieka jako dzikie, surowe i potężne objawienie się natury. I jakby coś przypomniało mu w niej o widokach na przyszłe życie, tak niespodziewanie nasunęło mu się podobieństwo tej przyrody do siedzącej obok kobiety, z tym tylko, że była ona piękniejsza i groźniejsza, stanowi-

ła tajemnicę trudniejszą do przeniknięcia, a także coś niemożliwego do nazwania, co ścisłało mu serce i zaćmiewało oczy.

– Patrz! Jeździec! – zawołała Jane, przerywając milczenie. – Czy może to być Lassiter?

Venters skierował swe spojrzenie bardziej na zachód. Na horyzoncie pojawił się ciemny konny, po chwili zlał się z barwą bylic.

– Może i on. Raczej jednak nie – ten nadjeżdża. Najpewniej to jeden z twoich kowbojów. Tak, teraz widzę go wyraźniej. I jest jeszcze jeden.

– Także ich widzę.

– Jane, twoi kowboje wydają się być równie liczni, co krzewy bylicy. Wczoraj spotkałem pięciu blisko szlaku wiodącego do Deception Pass¹. Byli ze stadem białego bydła.

– Nadal jeździsz do tego kanionu? Wolałabym, Bern, żebyś tego nie robił. Oldring i jego rozbójnicy kryją się gdzieś w nim.

– I co z tego?

– Tull wspomniał już o twoich częstych wypadach do Deception Pass.

– Wiem. – Venters zaśmiał się krótko. – Następnym razem zrobi ze mnie rozbójnika. Jane, przecież na odcinku pięćdziesięciu mil stąd nie ma żadnej wody, a najbliższa jest w owym kanionie. Muszę pić i poić konia. O tam! Widzę dalszych jeźdźców. Wyjeżdżają.

– Stado czerwonego bydła jest na tamtym stoku, w stronę Pass.

Zmierzch szybko zapadał. Grupa konnych minęła ciemną linię niskiego terenu i pokazała się wyraźniej, kiedy wjeżdżała w górę stoku. Ciszę przerwał wyraźny okrzyk nadciągającego jeźdźcy i niemal jakby odgłos myśliwskiego rogu napłynęła odpowiedź. Oddalający się szybko jeźdźcy objawili się ostro po osiągnięciu grzbietu wzniesienia, jako białe i czarne sylwetki powyżej horyzontu, a potem zjechali w dół, niknąc w purpurze bylic.

– Mam nadzieję, że nie napotkają Lassitera – powiedziała Jane.

¹ *Deception Pass* (ang.) – dosłownie Zwodnicza Przełęcz, Zwodnicze Przejście, ale jak wynika z dalszych opisów, chodzi o wielki kanion, jakie występują w tej części Ameryki Północnej.

– Ja też – przytaknął Venters. – Kowboje z nocnej zmiany wiedzą już, co działo się w ciągu dnia. Lassiter najpewniej jednak będzie ich unikał.

– Bern, kim jest Lassiter? Dla mnie to tylko nazwisko – straszne nazwisko.

– Kim jest? Nie wiem, Jane. Nie zna go nikt z tych, których spotkałem. Mówi trochę jak Teksańczyk, jak Milly Erne. Zauważyłaś to?

– Tak. To bardzo dziwne, że ją znał! Przecież mieszkała tutaj przez dziesięć lat, a nie żyje od dwóch. Bern, co wiesz o Lassiterze? Powiedz mi, co robi, dlaczego powiedziałeś o nim Tullowi, dlaczego groziłeś, że sam zostaniesz drugim Lassiterem?

– Jane, znam go tylko ze słyszenia, z pogłosek, opowieści, w większość których nie wierzyłem. W Glaze jego nazwisko jest znane, ale żaden ze znanych mi tutaj kowbojów czy ranczerów nigdy go nie spotkał. W Stone Bridge nigdy nie słyszałem, aby o nim mówiono. Za to w Sterling i miasteczkach na północ stąd wspominany jest często. Nigdy nie byłem w miasteczku, które by odwiedził. O nim i jego czynach krąży wiele sprzecznych opowieści. Niektórzy mówią, że zastrzelił kogoś w tym czy owym mormońskim miasteczku, a inni temu zaprzeczają. Skłonny jestem wierzyć, że zastrzelił, wiesz sama, jak mormoni skrywają prawdę. W jednej jednak rzeczy zgodni są wszyscy mówiący o Lassiterze, że jest on rewolwerowcem, jak w tym kraju określają to jeźdźcy. Coltem¹ posługuje się z cudowną precyzją i celnością. Teraz, kiedy go widział, wiem więcej. Lassiter od urodzenia nie wie, czym jest strach. Przyglądałem mu się oczyma, które postrzegły w nim przyjaciela. Nigdy nie zapomnę chwili, w której rozpoznałem go po tym, że przykucnął przed wyciągnięciem broni, bo tak się o nim mówi. Wtedy to wykrzyknąłem jego nazwisko. Myślę, że tym okrzykiem ocaliłem życie Tulla. W każdym razie wiem, że Tulla od śmierci dzieliła tylko grubość najcieńszego włoska. Gdyby on czy któryś z jego ludzi przesunął palcem w stronę...

¹ *Colt* – rewolwer produkowany przez amerykańskie przedsiębiorstwo Colt's Patent Fire-Arms Manufacturing Company, założone w 1855 w Nowym Jorku przez inżyniera Samuela Colta (1814-1862), dzięki nowoczesnym metodom produkcji i marketingu zdobył wielką popularność.

Venters nie dopowiedział, co by się stało, ale na sam domysł Jane zadrżała.

Błada poświata na zachodzie ciemniała, zmrok przechodził w noc. Kraina bylic rozciągała się teraz czarna i posępna. Jedna niewyraźna gwiazda migotała w południowo-zachodniej części nieba. Odgłosy kłusujących koni umilkły, zapadła cisza zakłócana jedynie słabym, suchym szelestem liści drzew bawełnianych, poruszanych lekkim nocnym wietrzykiem.

Ów spokój i ciszę przerwało nagle piskliwe wycie kojota¹, któremu z oddali odpowiedział w ciemnościach głos kręcącego się gdzieś samca.

– Oho! Szczekają psy bylicowe – powiedział Venters.

– Niechętnie je słyszę – odparła Jane. – Czasami w nocy, kiedy przebudzi mnie długie ponure czy przerywane szczekanie albo dzikie wycie, myślę o tobie śpiącym gdzieś wśród bylic, a wtedy boli mnie serce.

– Jane, nie mogłabyś słuchać przyjemniejszej muzyki ani ja mieć lepsze łóżce.

– Pomyśl tylko! Tacy ludzie jak ty i Lassiter nie mają domu, wygod, wytchnienia, nie mają gdzie złożyć znużone głowy. Cóż...! Bądźmy cierpliwi. Gniew Tulla może opaść, a czas przyjść nam z pomocą. A jeśli przysłużyć się czymś miasteczku, kto wie? A gdybyś odnalazł nieznaną od dawna kryjówkę Oldringa i jego bandy, ja zaś przekazałabym tę wieść moim kowbojom? Rozbroiłoby to paskudne podejrzenia Tulla i przysłużyłoby się tobie. Moi pasterze bydlę od lat tropią ślady kradzionego bydlę. Równie dobrze co ja wiesz, jak drogo płacimy za nasze pastwiska w tym dzikim kraju. Oldring zapędza nasze bydło w płataninę mylących trop kanionów i gdzieś daleko na północy albo wschodzie wyprowadza je na rynki w Utah. Jeśli już trafisz do Deception Pass, spróbuj natrafić na jakieś ślady.

– Jane, myślałem już o tym. Spróbuję.

¹ *Kojot preriowy (Canis latrans)* – drapieżnik z rodziny psowatych występuje w prawie całej Ameryce Północnej, mniejszy od wilka, w powieści nazywany też psem bylicowym.

– Muszę teraz iść. Jest to bolesne, bo nie wiem, czy na pewno kiedyś cię jeszcze zobaczę. Do jutra jednak, Bernie?

– Na pewno do jutra. Będę wypatrywał Lassitera i przyjadę z nim.

– Dobranoc.

Następnie zostawiła go i odeszła, jej biały, przemykający się kształt przepadł wkrótce w cieniach.

Venters odczekał, aż słabiutki trzask drzwi zapewnił go, że dotarła do domu, a wówczas wziął strzelbę i bezszelestnie ruszył pomiędzy krzewami, w dół pagórka, potem zaś pod ciemnymi drzewami na skraju zagajnika. Niebo z szarego przechodziło wówczas w granatowe; gwiazdy zaczęły świecić na wcześniej czarnym tle; z rozległej, płaskiej przestrzeni przed nim doleciał ku niemu zimny wiatr, pachnący wyziewami bylic. Trzymając się blisko ostatnich drzew bawelnianych szybko i cicho szedł na zachód. Zagajnik był długi, nie dotarł jeszcze do jego końca, kiedy jakiś odgłos kazał mu się zatrzymać. Położył się w mroku czekając i nasłuchując. Znacznie wcześniej niż się spodziewał, sądząc po dźwiękach, ku swemu zdumieniu ujrzał będących w pobliżu jeźdźców. Jechali skrajem bylic, i Venters od razu rozpoznał, że kopyta ich koni były owinięte. Następnie w bladym świetle gwiazd niewyraźnie dostrzegł jeźdźców. Oczy miał bystre i przywykłe do ciemności, przyglądając się więc bacznie rozpoznał potężną budowę i czarną brodę na głowie Oldringa oraz smukłą, gibką postać zastępcy herszta rozbójników, zamaskowanego jeźdźca. Przejechali obok, pochłonęły ich mroki. Następnie, dalej w krainie bylic, przemknęły ciemne, zwarte ciała jeźdźców, niemal bezgłośnych, niemal jak widma, a potem i one przepadły w nocy.



Rozdział III

Źródło Amber

Dla Oldringa i jego ludzi odwiedzanie Cottonwoods w pełnym świetle dnia nie było czymś nadzwyczajnym, ale zakradanie się w ciemnościach z owiniętymi kopytami koni oznaczało, że knuje on jakąś niegodziwość. Za szczególnie złowieszczą uznał przy tym Venters obecność z Oldringiem zamaskowanego jeźdźca. Człowieka tego otaczała tajemnica, rzadko przejeżdżał przez miasteczko, a jeśli już, to szybko; konni równie rzadko spotykali go w dzień wśród bylic, ale po każdym jego pojawieniu się następowały czyny równie mroczne i tajemnicze, co noszona przezeń maska. Banda Oldringa nie ograniczała się do uprowadzania bydła.

Venters leżał płasko w cieniu drzew bawełnianych, zastanawiając się nad tym przypadkowym spotkaniem i dopiero po wielu chwilach uznał, że może się bezpiecznie ruszyć. Wówczas powodowany nagłym impulsem wybrał inną drogę i cofnął się do zagajnika. Po osiągnięciu ścieżki wiodącej do domu Jane postanowił zejść do miasteczka. Ruszył tam szybko, pośpiesznymi, cichymi krokami. Opuściwszy zagajnik wszedł na jedyną ulicę, szeroką i obsadzoną wysokimi topolami, a pod każdym szpalerem drzew, środkiem chodnika, biegły rowy, którymi płynęła woda pochodząca ze źródła Jane Withersteen.

Pomiędzy drzewami migotały płomyki świec, a daleko w dole lśniły jasno okna sklepów miasteczka. Zbliżywszy się do nich Venters dojrzał grupki stojących i pogrążonych w ożywionej rozmowie mężczyzn. Nie było zwykłego tam próżnowania na rogach domów, na ławkach i schodkach. Kryjący się w cieniu Venters podchodził coraz bliżej, aż był w stanie słyszeć głosy. Nie mógł jednak wychwytywać słów. Rozpoznał wielu mormonów, wypatrywał mocno Tulla i jego ludzi, lecz bez powodzenia. Venters uznał, że rozbójnicy nie przejechali ulicą miasteczka. Owi rozgorączkowani mężczyźni

niewątpliwie rozmawiali o przybyciu Lassitera. Venters żywił jednak pewność, że zamiary, jakie tego dnia miał wobec niego Tull nie zostały i nie zostaną wyjawione.

Dlatego też uznawszy, że niewiele się dowie, Venters zaczął się wycofywać. Kościół był ciemny, także stojący obok dom biskupa Dyera, podobnie chata Tulla. Niemal każdego wieczora o tej porze paliłyby się tam światła i Venters zauważył to dziwne zaciemnienie.

Miał właśnie opuścić ulicę i okrążyć zagajnik, kiedy odgłos kłusujących koni kazał mu znowu się położyć. Zaraz dostrzegł parę jadących ku niemu konnych. Krył się w cieniu drzewa. Światło gwiazd, mocniejsze teraz, wspomogło go znowu i rozpoznał rosłą postać Tulla, a za nim niski, przypominający żabę kształt kowboja Jerry'ego. Milczeli i zniknęli po przejechaniu.

Venters podążał swą drogą z zajęтым, ponurym umysłem, rozważał wydarzenia dnia, próbował rozpoznać wykluwające się tej nocy. Prześladowały go ponure myśli. W górnej części tego ciemnego zagajnika mieszkała kobieta, która została jego przyjaciółką. On zaś przekradał się obok jej domu, niby Indianin skrycie trzymając broń; był człowiekiem bez swojego miejsca, ludzi czy celu. Ponad nią rozciągał się cień posępnej, skrytej i tajemnej mocy. Żadna królowa nie mogłaby bardziej w swej hojności szczerzej rozdawać, aniżeli Jane Withersteen swoim ludziom, jak również tym nieszczęśnikom, których ci ludzie nienawidzili. Sama prosiła jedynie o boskie prawo należne wszystkim kobietom – o wolność; chciała kochać i żyć wedle woli swojego serca. Te prośby wszakże i nadzieje były daremne.

– Od lat widziałem zbierające się nad nią i nad miasteczkiem Cottonwoods burzowe chmury – mruzczał idący Venters. – Wkrótce rozpęta się nawałnica. Nie podoba mi się to, co przyniesie.

Mieszkańcy osady szepczący tego wieczora na ulicy – jadący nocą z obwiniętymi kopytami rozbójnicy – knujący coś potajemnie Tull – oraz kryjący się gdzieś tam wśród bylic mężczyzna, który oznaaczał coś strasznego – Lassiter!

Venters przeszedł między czarnymi drzewami bawełnianymi i wkroczywszy na tereny bylicowe wspinał się po pochyłym się

stopniowo zboczu. Trzymał się kierunku wyznaczanego przez zachodnią gwiazdę. Od czasu do czasu przystawał, aby nasłuchiwać, lecz dobiegały go jedynie zwykle, znajome szczeknięcia kojota, szmer wiatru i szelest bylic. Wreszcie w mroku trochę na prawo od niego wyłoniły się niskie, bezładnie rozrzucone skały i cicho gwizdnęły. Spośród skał wysunął się pies, skamłąc skakał wokół niego. Jeździec wspiał się na nierówną, popękaną skałę, starannie wybierając drogę, a potem zszedł. Znalazł się w miejscu ciemniejszym i odsłoniętym od wiatru. Prowadził go biały kształt. Był nim drugi pies, tym razem śpiący, zwinięty pomiędzy siodłem a jukiem. Zwierzę przebudziło się i w powitaniu waliło ogonem. Venters podłożył sobie siodło jak poduszkę i zawiązał się w koce, wystawiając twarz ku górze, w stronę gwiazd. Biały pies przytulił się do niego mocno. Drugi, skomłąc, podreptał kilka jardów do małego wzniesienia gruntu i warował na tym posterunku. W owej dzikiej kryjówce Venters zamknął oczy pod wielkimi, białymi gwiazdami oraz ogromną, granatową kopułą, z goryczą porównując ich samotność ze swoją, i zasnął.

Kiedy się obudził, świtał dzień, a wszędzie wokół niego istniała jasna, stalowa szarość. Powietrze miało chłodny posmak. Jeździec wstał, przywitał się z łaszącymi się psami i rozciągnął zdrętwiałe ciało, a potem zebrał wiązki zeschniętych łodyg bylic i rozpałił ognisko. Paski suszonej wołowiny na chwilę przysunięte do żaru posłużyły za pokarm jemu i psom. Napił się z manierki. Nie miał z sobą niczego więcej; przywykł do skąpego pożywienia. Następnie usiadł przy ognisku, wyciągnął do niego dłonie i czekał. Od miesięcy czekanie było jego głównym zajęciem, niezbyt też wiedział, na co czeka, co najwyżej na upływanie godzin. Teraz jednak czuł, że w jego teraźniejszości coś się dzieje; dzień ten obiecywał kolejne spotkanie z Lassiterem i Jane, może wiadomości o koniokradach; jutro zaś zamierzał wyruszyć szlakiem do Deception Pass.

W czasie oczekiwania przemawiał do psów. Nazwał je Ring i Whittie; były psami pasterskimi, mieszkankami collie¹ i charta szkockie-

¹ *Collie* – inaczej owczarki szkockie, rasa bardzo dawna, duże (do 60 cm wysokości), łagodne, energiczne psy, doskonałe jako stróżujące i pasterskie.

go¹, wspaniale zbudowanymi i doskonale wytresowanymi. Wydawało się, że owe psy pojmowały, jaką wartość mają dla Ventersa w coraz większej jego niedoli i zgodnie z tym darzyły go uczuciem i wiernością. Whitle przyglądał się mu z miłością w mrocznych ślepiach, a Ring, warujący na małym wzniesieniu gruntu, trwał nieznużenie na straży. Kiedy wzeszło słońce, biały pies zajął miejsce wartującego, a Ring zasnął u stóp swego pana.

Powolutku Venters zwinął swoje koce, związał je wraz ze skromnym dobytkiem, a następnie wspiał się, aby wypatrzeć konia. Dojrzał go wreszcie niedaleko wśród bylic i zszedł, aby złapać. W tym kraju, gdzie każdy jeździec chlubi się dobrym wierzchowcem i chętnie przystępuje do wyścigów, gdzie na wspaniałych pastwiskach pełno jest koni pełnej krwi, Venters dosiadał takiego, który był smutnym świadectwem jego braku szczęścia.

Potem oparty plecami o skałę jeździec zwrócił się na wschód, czekając z patykiem w ręce i próżnującym ostrzem. Przepyszne światło słoneczne wypełniało dolinę purpurowym ogniem. Przed Venterssem, z lewej strony, z prawej, niby niskie fale purpurowego morza rozpościerały się rozkołysane, toczące się, zapadające, wznoszące bylice. Z zagajnika drzew bawełnianych, będącego zieloną plamą na purpurowym tle, prześwitywała zszarzała czerwień starego, kamiennego domu Jane Withersteen. Za nim zaś ciągnęła się szeroko zieleń ogrodów i sadów miasteczka, wyznaczanych przez pełne gracji topole. Jeszcze dalej lśniła głęboka, ciemna bujność pól alfalfy. Niezliczone czerwone, czarne i białe plamki nakrapiały bylice – były nimi sztuki bydła i koni.

Wpatrujący się tak i czekający Venters pozwalał upływać czasowi. Dojrzał wreszcie wyłaniającego się nad grzbietem wzniesienia konia, rozpoznał, że to karosz Lassitera. Wspiąwszy się na najwyższą skałę, aby być widocznym na tle nieba, stanął tam i pomachał kapeluszem. Niemal natychmiastowe skręcenia konia Lassitera świad-

¹ *Chart szkocki* – rasa bardzo dawna, psy te służyły kiedyś do polowań na jelenie, stąd ich angielska nazwa (*deerhound*), bardzo duże (do 76 cm wysokości), spokojne, energiczne, wykorzystywane jako myśliwskie i wyścigowe.

czyło o bystrości oka tego jeźdźca. Venters zszedł następnie, osiodłał swego konia, przywiązał juki i rzuciwszy słowo psom miał już wyruszyć na spotkanie Lassitera, kiedy postanowił czekać nań w tym wyższym miejscu, skąd widok był szerszy.

Od dawna już Ventersa nie spotkało serdeczne przywitanie przez mężczyznę. Dokonane przez Lassitera rozgrzało coś wyziębłe wskutek zaniedbania. A kiedy je odwzajemnił, po mocnym uścisku żelaznej dłoni i spojrzaniu szarych oczu poznał, że Lassiter i on zostaną przyjaciółmi.

– Venters, pogadajmy chwilę, zanim tam zjedziemy – powiedział Lassiter, wypuszczając wodze. – Nie muszę się śpieszyć. Te twoje psy są pewnikiem ładne. – Okiem jeźdźca ocenił cechy konia Ventersa, ale nie zdradził swego zdania. – No, czy cosik się stało, kiedy żem cię opuścił wczoraj wieczorem?

Venters opowiedział mu o rozbójnikach.

– Ukrył żem się wygodnie w bylicach – odparł Lassiter – i nikomu nie widział ani słyszał. Oldring panoszy się tutaj, wiem. W Utah nie nowina, jak kryje się w kanionach i znika bez śladu. – Przez chwilę milczał. – Ja i Oldring byli żeśmy trochu znajomkami parę lat temu, kiedy to pędził on bydło do Bostil's Ford¹, w górze Rio Virgin². Jeno ścigano go tam i teraz pędzi je gdzieś indziej.

– Lassiter, znasz go? Powiedz mi, jest mormonem czy gojem?

– Nie powiem ci. Znał żem mormonów udających gojów.

– Żaden mormon nie udawał tego, jeśli nie był zeń rozbójnik – oświadczył Venters.

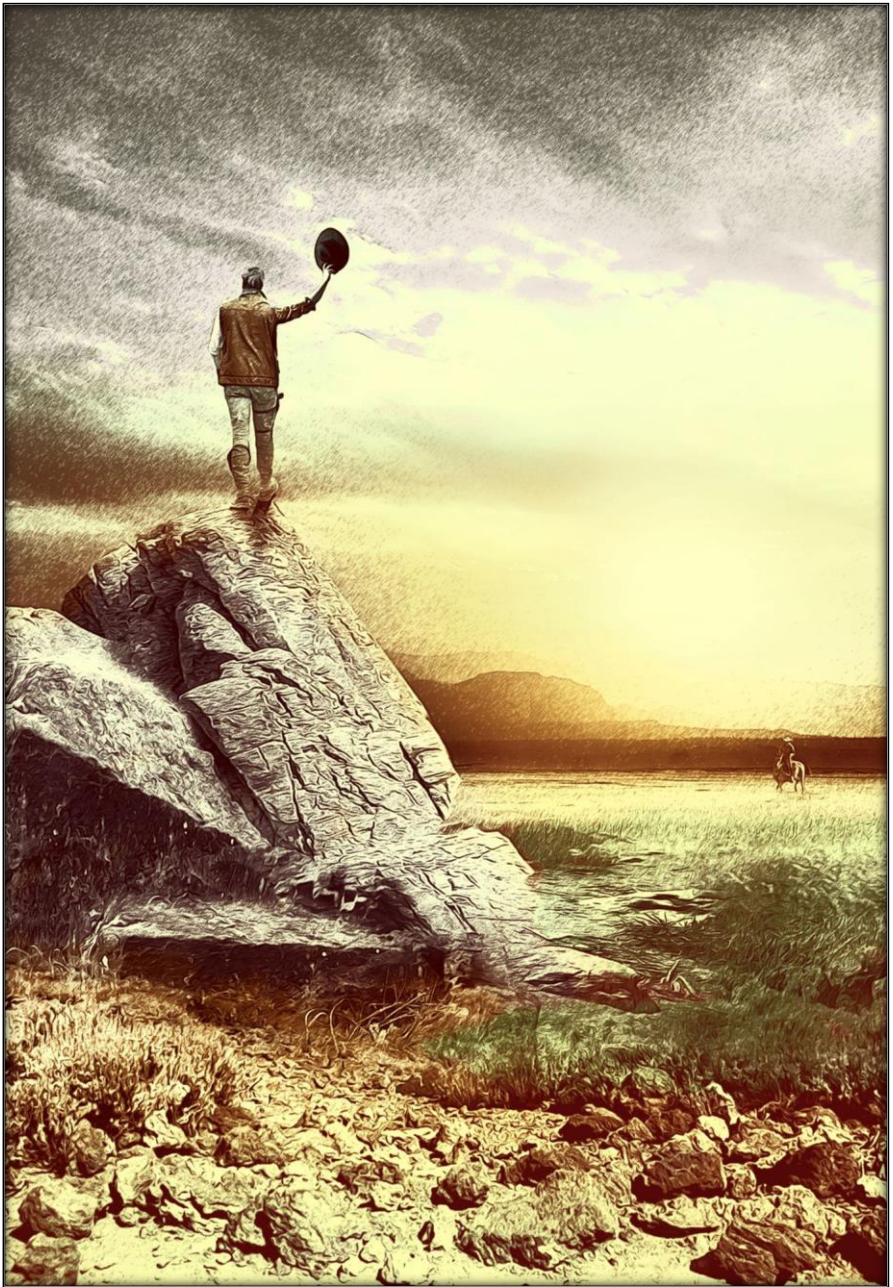
– To możebne.

– W tym kraju ciężko mają wszyscy, ale najbardziej goje. Czyś kiedy znał goja bogacącego się w społeczności mormonów albo słyszał o takim?

– Nigdy.

¹ *Bostil's Ford* – miejsce wymyślone, bród ten (ang. *ford*), występuje w tytule opowiadania Zane'a Grey'a z roku 1912, *The Horses of Bostil's Ford*.

² *Rio Virgin* – rzeka w południowo zachodniej części Stanów Zjednoczonych, długości 261 km, źródła ma w południowo zachodnim Utah, wpada do Colorado na granicy Nevady i Arizony, bardzo malownicza i dzika rzeka góraska.



Wspiąwszy się na najwyższą skałę, aby być widocznym na tle nieba, stanął tam i pomachał kapeluszem.

– Właśnie, chciałbym wynieść się z Utah. Mam matkę mieszkającą w Illinois. Chciałbym pojechać do domu. Minęło już osiem lat.

Życzliwość starszego mężczyzny skłoniła Ventersa do opowiedzenia o sobie. Opuścił Quincy¹, uciekł stamtąd w poszukiwaniu szczęścia na terenach złotoносnych, ale nigdy nie dotarł poza Salt Lake City², pracował tu i tam jako parobek, woźnica, pasterz, przesuwał się na południe przez wododziały³ i pustkowia, aż przełęczami dostał się na nierówny płaskowyż z ostatnimi osadami kresowymi. Tam został kowbojem krainy bylic, miał swoją trzodę, jakiś czas dobrze sobie radził, aż wskutek przypadku został pracownikiem Jane Withersteen.

– Lassiter, reszty nie muszę ci mówić.

– No, nie byłyby to mi nowina. Znał żem mormonów. Widział żem u ich kobiet dziwną miłość i cierpliwość, ofiarność i milczenie, jakoż to, co zwę szaleństwem w ich pojęciu Boga. I w porównaniu z tym widział żem podstępny mężczyzn. Działają ręka w rękę, wszyscy razem i w mroku. Nikt nie może mierzyć się z nimi, chyba że chwyci za broń. Mormoni nie palą się bowiem do zabijania. To jedyne dobre, co żem kiedyś widział w ich religii. Venters, możesz mi wierzyć, ci mormoni nie mają dobrze w głowach. Jakże inaczej mogliby żenić się z kobietą, kiedy mają już żonę, i nazywać to obowiązkiem?

– Lassiter, myślisz jako i ja – odparł Venters.

– Dlaczego wobec tego nigdy nie wyciągnął broni na Tulla czy innego z nich? – zapytał zaciekawiony jeździec.

– Jane zaklinała mnie, błagała, żebym był cierpliwy, przymykał oczy. Zabrała mi nawet broń. Straciłem wszystko, zanim się obejrzał – odrzekł Venters z rumieńcem na twarzy. – Posłuchaj wszak-

¹ Quincy – miasto w USA, w zachodniej części stanu Illinois, nad Missisipi, założone w roku 1819, w XIX wieku szybki rozwój dzięki dogodnemu położeniu, drugi ośrodek stanu, później podupadło, obecnie ma ok. 40 tys. mieszkańców.

² Salt Lake City – miasto w północnej części stanu Utah, jego stolica (od roku 1896), leży kilkanaście kilometrów na południowy wschód od Wielkiego Jeziora Słonego, założone przez mormonów w roku 1847, ważny ośrodek przemysłowy, finansowy i komunikacyjny, obecnie ma ok. 190 tys. mieszkańców.

³ Wododziały – przez stan Utah przebiega wododział pomiędzy Oceanem Atlantyckim i Spokojnym.

że, Lassiter. Z resztek uratowałem winchester¹, dwa colty i mnóstwo nabojów. Zabrałem to do Deception Pass. Tam od sześciu miesięcy niemal codziennie ćwiczyłem ze strzelbą, aż lufa paliła mi ręce. Ćwiczyłem wyciąganie colta i strzelanie, godzina po godzinie!

– To mnie ciekawi – powiedział Lassiter, szybko podnosząc głowę i skupiając na Ventersie spojrzenie szarych oczu. – Czyś umiał wyciągnąć broń, zanim zaczął żeś ćwiczyć?

– Tak. A teraz... – poruszył się szybko jak błyskawica.

Lassiter uśmiechnął się, a potem zmrużył ogorzałe powieki, aż jego oczy wyglądały jak szare szparki.

– Zabijesz Tulla!

Nie było to pytanie, lecz zapewnienie.

– Obiecałem Jane Withersteen, że postaram się unikać Tulla. Do-trzymam słowa. Prędeż jednak czy później Tull i ja się spotkamy. I czuję teraz, że jeśli tylko spojrzy na mnie, to wyciągnę broń!

– Tako myślę. Wtedy tam w dole zrobi się piekło. – Umilkł na chwilę i pejczem smagnał krzew bylicy. – Venters, skoro ujrzał żem, jak się żeś rozpałił, opowiedz mi o historii Milly Erne.

Poruszenie Ventersa opadło wskutek powściąganego zapału w pytaniu Lassitera.

– O historii Milly Erne? No, Lassiter, opowiem ci, co wiem. Milly Erne od lat mieszkała w Cottonwoods, kiedym przybył tam po raz pierwszy, a większość z tego, co ci powiem, zdarzyło się, zanim się zjawiłem. Dość dobrze ją poznałem. Była chudziutka i zwiariowana religijnie. Nabrałem przekonania, o którym nigdy nie mówiłem – myślę, że w głębi serca była bardziej gojką niż mormonką. Uchodziła jednak za mormonkę i na pewno miała ich zaciśnięte usta. Wiesz, że w każdym mormońskim miasteczku są kobiety wydające się nam tajemnicze, ale w Milly było coś więcej, aniżeli zwykły sekret. Kiedy przyjechała do Cottonwoods, miała z sobą śliczną dziewczynkę, którą gorąco kochała. Milly nie była znana powszechnie jako żona mor-

¹ *Winchester* – karabin produkowany przez amerykańską firmę Olivera Winchestera, Venters mógł mieć model M1866, wytwarzany od roku 1866, powtarzalny, ładowany dźwignią.

mona. Nie miałem jednak żadnych wątpliwości, że nią była. Może inna żona czy żony mormona nie uznawały Milly. Zdarza się tak w tych miasteczkach. Mormońskie żony noszą jarzma, ale bywają zazdrosne. No, cokolwiek sprowadziło Milly do tego kraju – miłość, szaleństwo czy religia – to pożałowała tego. Przestała uczyć w szkole miasteczka. Opuściła kościół. Zaczęła też walczyć przeciwko mormońskiemu wychowywaniu jej dziewczynki. Potem mormoni zaczęli przykręcać śrubę – powoli, jak mają we zwyczaju. Wreszcie dziecko zniknęło. Podobno „zagineło”. Porwano je, wiem o tym. Jak i ty. Załamało to Milly Erne. Żyła jednak dzięki nadziei. Została niewolnicą. Wytężała całe swe serce, duszę i życie, żeby odzyskać swe dziecko. Nigdy więcej o nim nie usłyszała. Potem zapadła się w sobie... Widzę ją teraz, chucherko, tak przezroczyście, że niemal można było przez nią widzieć – białą niby popiół – a jej oczy...! Jej oczy zawsze mnie prześladowały. Miała tylko jedną prawdziwą przyjaciółkę – Jane Withersteen. Jane nie zdołała jednak naprawić złamanego serca i Milly zmarła.

Kilka chwil Lassiter nic nie mówił, ani nie odwracał głowy.

– Ten mężczyzna! – zawołał w końcu chrapliwym głosem.

– Nie mam zielonego pojęcia, kim był ten mormon – odparł Venters – ani żaden inny goj w Cottonwoods.

– Czy Jane Withersteen wie?

– Wie. Lecz nawet rozpalonym żelazem nie wyciągnąłbyś z niej tego nazwiska!

Nie mówiąc nic więcej Lassiter ruszył, prowadząc swego konia, a za nim szedł Venters z psami. Pół mili dalej w dole zbocza wkroczyli do kępy bujnych wierzb¹, a wkrótce potem na otwartą przestrzeń, pokrytą wyglądającą jak głęboki, zielony aksamit trawą. Szmer wody i śpiewy ptaków napełniły uszy jeźdźców. Venters poprowadził towarzysza do ocienionej altany i pokazał mu źródło Amber. Zapewniało obficie wspaniałą, przejrzystą, bursztynową wodę, wypływającą z ciemnej, otoczonej kamieniami jamy. Lassiter ukląkł i napił się jej,

¹ *Wierzy* – w Utah wierzbami nazywane są drzewa z gatunku *Salix amygdaloides*, z rodziny wierzbowatych, małe (wysokości 4-20 m), o długich liściach, występują na preriach i terenach wilgotnych.

odczekał chwilę, i napił się znowu. Nic nie powiedział, ale Venters nie potrzebował słów. Po swym koniu jeździec z krainy bylic najbardziej kocha źródła. To zaś było najpiękniejsze i najbardziej godne uwagi z wszystkich, które znali jeźdźcy z wyżyn południowego Utah. Właśnie to źródło uczyniło starego Withersteena panem feudalnym, a teraz jego córce zwracało opłaty, które jej ojciec wymuszał na ciężko pracujących mieszkańcach krainy bylic.

Źródło tryskało burzliwym nurtem i radośnie spływało, szybko podążając okolonym wierzbami łożyskiem. Mchy, paprocie i lilie¹ porastały jego zielone brzegi. Oprócz ledwo ociosanych kamieni, które utrzymywały w ryzach i kierowały wodę, ową kępę wierzb i polankę pozostawiono w stanie, jaki uczyniła natura.

Poniżej były sztuczne stawy, w liczbie trzech, jeden nad drugim, okolone usypanymi wałami ziemnymi, zaś wokół nich wznosiły się pokryte bujnym, zielonym listowiem pnie topól. Na gładkiej jak szkło powierzchni sadzawek widniały kaczki²; czapla modra³ stała nieruchomo obok śluzy; skrzeczące rybaczki⁴ śmigły wzdłuż cienistych brzegów; w górze krążył biały kaniuk⁵; od drzew i krzewów dochodziły pieśni drozdów i przedrzeźniaczy⁶. Wszystko to odcinało się osobiwie od ciągnących się dalej bez końca stoków porośniętych

¹ *Lilie* – zapewne (*Calochortus nuttallii*), nazwa angielska *sego lily*, kwiaty wodne z rodziny lili, rosnące w zachodniej części Stanów Zjednoczonych, osiągają 40 cm wysokości, mają białe płatki, jadalne; kwiat-symbol stanu Utah.

² *Kaczki* – spośród kilku gatunków dzikich kaczek występujących w Utah najczęstsze są cynamonki (*Spatula cyanoptera*), średniej wielkości, samce cynamonowo-czerwone, samice brązowe oraz rożeńce zwyczajne (*Anas acuta*), większe od cynamonek, z długimi ogonami.

³ *Czapla modra* (*Ardea herodias*) – ptak brodzący z rodziny czaplowatych, występujący w całej Ameryce Północnej, bardzo podobny do europejskiej czapli siewej, trochę większy, szaroniebieski.

⁴ *Rybaczki* popielate (*Megaceryle alcyon*) – drapieżne ptaki z rodziny zimorodkowatych, długości do 35 cm, mają granatowoszary grzbiet i biały spód, łowią głównie ryby.

⁵ *Kaniuk* amerykański (*Elanus leucurus*) – ptak drapieżny z rodziny jastrzębiowatych, występują w zachodniej części Ameryki Północnej, osiąga około 40 cm długości, szaro-biały z czarnymi końcówkami skrzydeł.

⁶ *Przedrzeźniacze* północne (*Mimus polyglottos*) – ptaki z rodziny przedrzeźniaczy, występują w południowej części Ameryki Północnej, wielkości kosa (do 28 cm długości), owadożerne, ciemnoszare, z jasnym brzuchem, chętnie naśladują głosy innych gatunków.

tylko bylicami i dzikich skał. Venters pomyślał o kobiecie, która kochała kwiaty, zielen liści i szmer wody.

Dalej na zboczu, tuż poniżej trzeciego i największego stawu, znajdowały się corrale, szeroka kamienna stodoła, otwarte szopy, kojce dla drobiu i zagrody. Były tam kłęby kurzu, trzaskające odgłosy kopyt, brykające źrebięta i ryczące *burro*. Rżące wierzchowce podbiegały do ogrodzeń corralu. Z okienek stodoły wystawały kiwające się łby gniadych, karych i kasztanowych koni. Kiedy dwaj jeźdźcy weszli na wielki podwórzec, nasilił się dobiegający zewsząd zgiełk. Do tego powitania nie dołączyło kilku mężczyzn i chłopców, którzy gdzieś przepadli.

Venters i Lassiter skręcili w stronę domu, kiedy na ścieżce pojawiła się prowadząca konia Jane. W spódnicy do jazdy konnej i bluzce zdawała się trochę tracić ze swych posągowych proporcji, wyglądała bardziej na pracownicę rancza niż na panią posiadłości Withersteenów. Uśmiechała się promiennie, a jej powitanie było ciepłe i serdeczne.

– Dobre wieści – oznajmiła. – Byłam w miasteczku. Panuje w nim spokój. Spodziewałam się... nie wiem czego. Nie ma tam jednak żadnego poruszenia. A Tull wyjechał do Glaze.

– Nie ma Tulla? – zapytał zaskoczony Venters. Zastanawiał się, co mogło skłonić Tulla do wyjazdu. Czyżby chciał uniknąć następnego spotkania z Lassiterem? A może miało to jakiś związek z przypuszczalnym pojawieniem się w pobliżu Oldringa i jego bandy?

– Tak, nie ma, i bardzo dobrze – odparła Jane. – Będę teraz miała trochę spokoju. Lassiter, chcę, aby obejrzał pan moje konie. Jest pan jeźdźcem i musi się na nich znać. Niektóre z moich zwierząt mają arabską krew. Mój ojciec swe najlepsze stadniki¹ uzyskał w Nevadzie od Indian zapewniających, że ich konie pochodzą prosto od tych pozostawionych przez Hiszpanów.

– No, proszę pani, me oko przykuł ten, na którym pani jeździsz – powiedział Lassiter i obszedł dookoła wyścigowego deresza² o cienkich pięcinach i smukłej sylwetce.

¹ *Stadniki* – w hodowli koni, bydła samce rozplodowe, służące poprawianiu rasy.

² *Deresz* – koń maści dereszowatej, w połowie siwy (biały), a w połowie innej, ciemnej maści.

– Gdzie są chłopcy? – zapytała, rozglądając się wokół. – Jerd, Paul, gdzieście to? Wyprowadźcie konie.

Odgłosy opadających w stajni prętów skłoniły konie do gwałtownego wycofania wystawionych przez okna łbów, do parskania i drepnięcia. Potem z łoskotem wypadły przez drzwi na podwórzec, cały rząd rumaków czystej krwi, z uniesionymi głowami i ogonami, powiewającymi grzywami. Zatrzymały się daleko, ustawiły równo, obejrzały i cicho rżąc podchodziły powoli do swej pani, nieufnie parszcząc na obcych i ich konie.

– Tu... tu... tu – wołała Jane, wyciągając ręce. – No, Bells... Wrangle, gdzie twoje maniery? Chodź, Black Star, chodź, Night. Och, wy śliczności! Moje rumaki bylic!

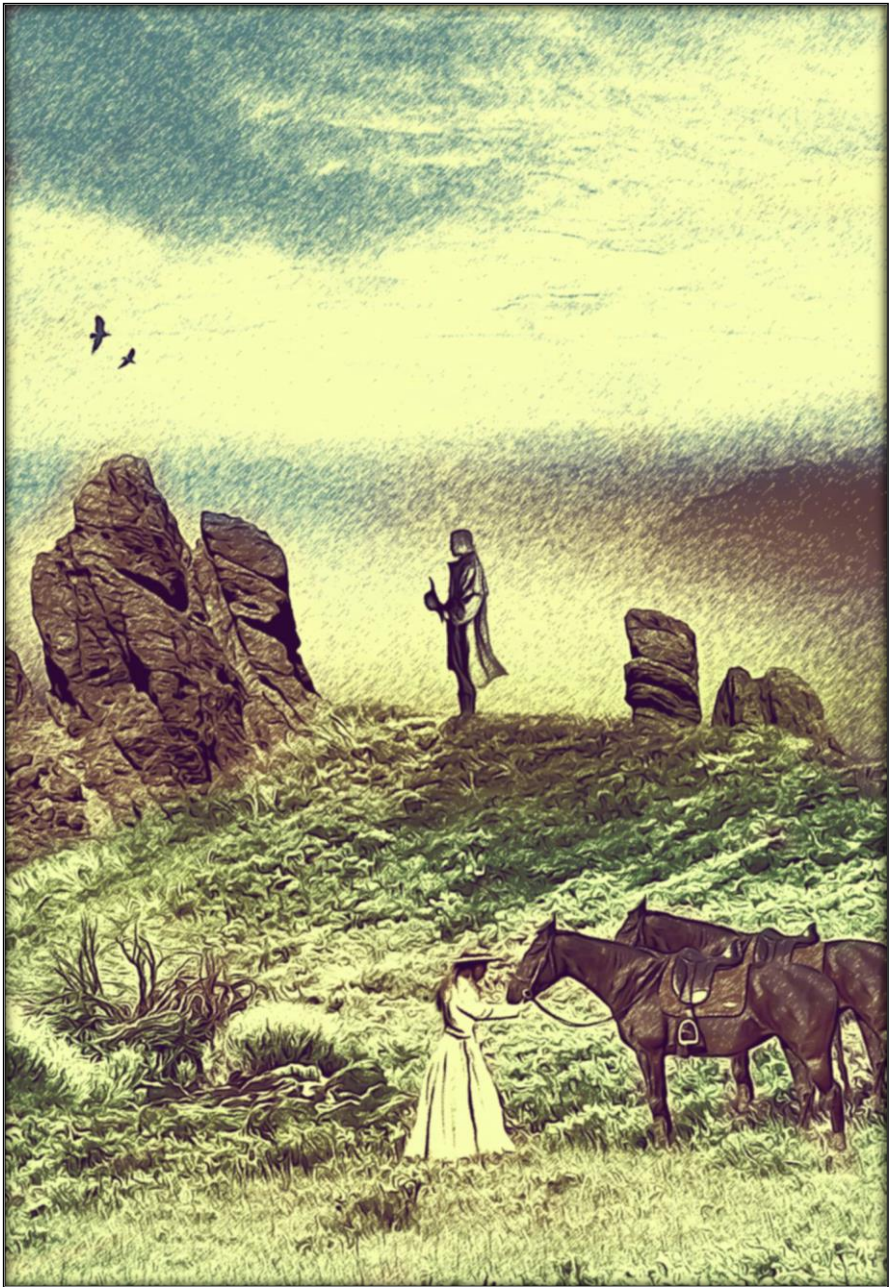
Podeszły do niej tylko dwa konie, które przywołała imionami Night i Black Star. Venters zawsze patrzył na nie z zachwytem. Oba były kare, pierwszej o sierści matowej, a drugi błyszczącej, oba dokładnie takich samych rozmiarów, oba wysokie i o wydłużonym ciele, szerokie w kłębie, o smukłych i mocnych nogach. Na to, że były ulubieniami ich pani wskazywały lśniące boki i miękkość grzywy. Widać to było także po blasku wielkich oczu i łagodności, z jaką się do niej garnęły.

– Nigdy żem takich nie widział – pochwalił je Lassiter – a dotąd widział żem mnóstwo koni. Tera, proszę pani, gdyby chciała pani zrobić długą i szybką przejażdżkę po bylicach... powiedzmy na potajemny ślub...

Lassiter zakończył swe słowa zgryźliwym żartem, ale coś się w nim kryło. Jane zarumieniła się i spojrzała nań z uniesionymi brwiami.

– Uważaj pan, Lassiter, bo jeszcze uznam to za oświadczyzny – odparła wesoło. – Niebezpiecznie jest proponowanie mormonce potajemnego ślubu. No, oczekiwałam pana. Teraz będzie dobra pora na pokazanie panu grobu Milly Erne. Kowboje dziennej zmiany wyjechali, a nocnej jeszcze nie wrócili. Bern, co o tym myślisz? Czy powinnam się martwić? Wiesz, że mam powody do zmartwień.

– No, zwykle nocna zmiana nie przyjeżdża taka spóźniona – odrzekł powoli Venters, a jego spojrzenie poszukiwało wzroku Lassite-



Lassiter popatrzył na grób, a potem przed siebie.
W tej chwili zdawał się być posągiem z brązu.

ra. – Bydło po zmroku jest zwykle spokojne. Mimo to widziałem, jak nawet kojot płoszył twoje białe stado.

– Odmawiam przejmowania się kłopotami. Jedźmy – powiedziała Jane.

Dosiedli koni i prowadzeni przez Jane zjechali dróżką, a po skręcie w szlak wydeptany przez bydło ruszyli na zachód. Psy Ventersa truchtały za nimi. Po tej stronie rancza widoki były inne, niż po przeciwnej; teren był początkowo nierówny, a bylice marniejsze i mniej kolorowe; oczu nie przyciągały granatowe linie kanionów, ani wznoszące się stromo ściany skalne. Stok długą krzywizną opadał w mroczną szarość. Jane szybko opuściła szlak i wjechała między bylice, aż zsiadła z konia i wypuściła wodze. Mężczyźni postąpili tak samo. Następnie podążyli za nią pieszo, wychodząc po jakimś czasie na skraj niskiej skarpy. Kobieta minęła kilka małych wałów ziemnych i zatrzymała się przed ledwo widocznym kopczykiem. Znajdował się w cieniu rozłożystej bylicy niedaleko końca występu terenu; jeździec mógłby przeskoczyć ten grób nawet go nie zauważając.

– Tutaj!

Wyglądała na smutną, kiedy to mówiła, ale nie wyjaśniła zaniedbanego stanu tej nieoznaczonej, pozostawionej bez pieczy mogiły. Była tam tylko kępka białych, jasnowawych stokrotek¹, niewątpliwie zasadzonych przez Jane.

– Przychodzę tu tylko żeby wspominać i się modlić – powiedziała. – Nie pozostawiam jednak żadnych śladów!

Grób pośród bylic! Jakże samotne było to miejsce spoczynku Milly Erne! Nie było z niego widać drzew bawełnianych ani pól alfalfy, także żadnej skały, urwiska czy cedru przełamującego monotonię krajobrazu. Szare stoki, z lekkim odcieniem purpury, nagie i dzikie, z falującymi na wietrze bylicami, ciągnęły się po niewyraźny horyzont.

Lassiter popatrzył na grób, a potem przed siebie. W tej chwili zdawał się być pośmiałym z brązu.

¹ *Stokrotki* – opis pasuje do kwiatu *Erigeron utahensis*, rodzimego w stanie Utah, z rodziny astrowatych, osiągającego 60 cm wysokości, o lawendowych, jasnoniebieskich i białych płatkach.

Jane dotknęła ramienia Ventersa i powiodła go z powrotem do koni.

– Bern! – zawołała Jane, kiedy znaleźli się poza zasięgiem głosu. – A jeżeli Lassiter był mężem Milly – ojcem tej zaginionej tak dawno temu dziewczynki!

– To możliwe, Jane. Odjedźmy. Jeśli zechce się znowu z nami spotkać, to przybędzie.

Dosiedli więc koni, pojechali do szlaku dla bydła i zaczęli się nim wspinać. Z wysokości grzbietu, skąd mieli zjeżdżać, Venters się obejrzał. Nie dostrzegł Lassitera, ale swym spojrzeniem, które nieodparcie przyciągnęła dalsza część opadającego stopniowo zbocza, zauważył poruszający się kłęb kurzawy.

– Hej, jeździec!

– Tak, widzę – powiedziała Jane.

– Ostro gna. Jane, stało się coś złego.

– O tak, musiało się... Jakże pędzi!

Koń zniknął wśród bylic, a jego bieg znaczyły odtąd obłoczki pyłu.

– Minie nas skrótem, jedzie prosto ku corralom.

Venters i Jane pobudzili swe wierzchowce do galopu i pojechali do skrzyżowania w drózkę, która wiodła w dół na prawo od zagajnika. W dolnym wejściu do niego mignął nagle gniadosz. Potem Venters posłyszał szybki, rytmiczny tętent bijących kopyt. Jego bystre oko rozpoznało postawę jeźdźcy w siodle.

– To Judkins, twój gojski kowboj! – zawołał. – Jane, kiedy Judkins tak gna, oznacza to piekło!



Chcesz przeczytać dalszą część?

Zapraszamy do księgarni!